Nr. na okaz. **(Drugi nakład z powodu konfiskaty).**

Nr. I. Lwów, 1. Października 1885. **Rok I.**

STRAŻNICA POLSKA

PISMO

POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE

wychodzi

dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.

Pojedyńczych Nrów nie sprzedaje się.

PRENUMERATA
„Strażnicę polską“ wynosi:
Kwartalnie:
We Lwowie: bez przesyłki 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 60 „
Na prowincyi: . . . . 1 „ 70 „
Za granicą: . . . . 2 „ — „

REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem:
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“ na ręce p. **Szczęsnego Bednarskiego,** Lwów, Rynek L. 9.

Od Administracyi.

Następne numera *Strażnicy polskiej* tylko tym osobom wysyłane będą, które po odebraniu niniejszego egzemplarza „na okaz“ przeszlą prenumeratę do Administracyi *Strażnicy polskiej*, na ręce p. Szczęsnego Bednarskiego, Lwów, Rynek l. 9.

Nru „na okaz“ zwracać nie potrzeba.

Do naszych przyjaciół.

Ośm miesięcy upłynęło, gdy niespodzianie, skazani mimo woli naszej na milczenie, zmuszeni byliśmy poddać się tej zmienności losu ludzkiego, a po części i bez nadziei, czy kiedykolwiek pracować będziemy jeszcze na tej niezbyt wdzięcznej niwie. I był ztąd wielki tryumf w pewnych sferach naszych „najserdeczniejszych“, którzy byli tego przekonania, że „Strażnica polska“ została raz na zawsze pogrzebaną, i nie będzie już niepokoiła ani na jawie ani we śnie różnych śmiertelników; że każda jak na drożdżach wyrosła znakomitość, przedstawiająca wrzekomą siłę lub poświęcenie, nie będzie już napastowaną przez te bezwzględne „piśmidła“; nie jeden „pewien interes“ zyskowny realnie, będzie się mógł swobodnie rozwijać bez względu i obawy na swe przymioty i naturę.

Pewne zaś dzienniki nasze uważały za rzecz szlachetną, napadać w niezbyt parlamentarny sposób, a przedewszystkiem nieuczciwy, na redakcyę pogrzebanych pism, szczycąc się tem jawnie, jakby szczególną zasługą, że to one dzwoniły pierwsze na to kazanie i wskazywały odnośnym władzom, aby wrzekomym rewolwerom zamknąć usta. Cynizm ten i szczególna odwaga cywilna doszegły do zenitu po egzaminie w zakładzie drohowyzkim.

Kopanie nogami człowieka nie mogącego się bronić publicznie, bo żadne z pism lwowskich nie otworzyłoby mu łamów, oddziałało jednakowoż wprost przeciwnie na opinię publiczną, a nawet na tych, których nie zaliczaliśmy dotąd do naszych przyjaciół. Po faktach znanych, dotyczących fundacyi Skarbkowskiej, które się zaprzeczyć nie dadzą, szarpanie takie nazywano publicznie i głośno „nieuczciwością“, niegodnem znęcaniem się i zemstą.

Dalej: W czasie, gdyśmy mieli usta zamknięte, rozegrały się losy różnych osobistości, stałych lub niestałych klientów byłego „Sztandaru polskiego“ i „Strażnicy polsk.“; a rozegrały się w ten sposób, że wrzekome nasze oszczerstwa, szarpanie i napadanie na ludzi uczciwych, zacnych i zasłużonych znakomitości, nie były oszczerstwami, ale niestety — smutną prawdą.

Natomiast w czasie naszej bezwładności przyszły na porządek dzienny fakta wstrętne i oburzające, a pomimo to przeoczane rozmyślnie przez pewne nasze pierwszorzędne dzienniki, nadające ton opinii publicznej, w takich razach jednak chorujące na głuchotę i na zupełną kataraktę, którą ich oczy sporadycznie są nawiedzane. A gdy w dodatku nie wahają się pewni publicyści, którzy uczynili rozbrat nietylko z patryotyzmem, ale z wszelką uczciwością ludzką — plwać na to wszystko co nam jest święte, inne zaś dziennikarstwo nie miało odwagi kopnąć ich tak, jak na to zasługują, ale polemizować jak równy z równym, wtenczas miarka się już przebrała nawet naszej galicyjskiej potulności i zaczęto głośno wołać: „Nie ma Strażnicy polskiej!“ Nie upłynęło wiele czasu, gdy do głosu tego zaczęli się przychylać nawet nasi najzaciętsi antagoniści. Mianowicie podczas wyborów do Rady państwa dał się uczuć brak „Strażnicy polskiej“. Od tego to czasu zarzucono nas formalnie odezwami i żądaniami, aby w jakichbądź warunkach rozpocząć na nowo wydawnictwo. Znaleźli się obywatele, który zapał swój dalej posunęli, ofiarując dobrowolnie złożenie kaucyi, lecz nie mogąc się uwolnić od pewnych wpływów, cofnęli swoje przyrzeczenia.

Prawdą jest, że z naszej strony po tem doświadczeniu, pomimo dawanych nam wskazówek, nie czyniliśmy żadnych kroków, a to dla tego, aby nie doznać nowych zawodów. Postanowiliśmy raz na zawsze zrezygnować z tej nader mozolnej pracy, która wycieńcza nasze siły do ostatka.

Łatwo jednakowoż coś postanowić, ale trudniej pozostać przy tem postanowieniu; to też i z nami tak się stało, gdy znów liczny zastęp zacnych i patryotycznych głosów zaczął nas pytać: **„A gdzie twoje usque ad finem?“**

Tak jest, mea culpa; nie wolno się cofać z pod sztandaru temu, który mu przysiągł wierność aż do skonu.

Oto jedyny powód i bodziec, dla których dziś stawamy do dalszej walki, bez względu, co ona nam przyniesie; czy dalsze obrzucanie błotem, lub zwycięstwo prawdy. — Mniejsza oto. Jak przedtem tak i teraz przygotowani jesteśmy na wszystko, a jedynem hasłem naszem będzie aż do skonu: **Bóg i Ojczyzna!**

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

Pod tym tytułem dostał się do rąk redakcyi rękopis, obejmujący do 90 arkuszy ścisłego pisma ręką autora, który zmarł przed kilku laty. W skromnej szacie kapłańskiej mamy przed sobą obraz wielce patryotycznej duszy, obywatela miłującego ojczyznę, który od kolebki walcząc z przeciwnościami i od chwili gdy się uczuł być Polakiem, imię jego słusznie zapisać możemy w księgę męczenników za sprawę narodową. Jest to jedna z tych postaci, które się dzisiaj już w rzadkich tylko wypadkach spotyka i należą zaiste do wyjątków. Ś. p. ks. Wincenty Bukowski jest to uosobienie idei demokratycznej; jest to kapłan, który ani na chwilę nie zapomina, co jest winien ziemi która go zrodziła, i dziejom tejże. W każdym razie postać to niezwykła, a to, co opisuje z dziejów Galicyi, z pierwszej połowy bieżącego wieku, są to nieocenione fakta i ważne przyczynki nawet dla dziejopisa. Żałujemy tylko, że z powodów od nas nie zależących, nie możemy drukować tego pamiętnika dosłownie. Podawać więc będziemy ustępy, które są możebne, a niemniej ciekawe. Mamy jednak nadzieję, że pamiętnik ten wyjdzie kiedyś w zupełnej całości.

O wartości tego pamiętnika sz. czytelnicy sami się przekonają.

S. p. ks. Wincenty tak rozpoczyna:

„Urodziłem się dnia 12. Lipca 1814 roku w Samborze, mieście obwodowem, na Rusi czerwonej, z ubogich, ale poczciwych rodziców. Ojcu było na imię Antoni, rodem z Krakowa i z Maryanny Heidrich, rodem z Chrudima w Czechach. Rodzic był krawcem. — W r. 1796 dał się w młodym wieku zwerbować do freikurów austryackich, którzy nosili czerwone płaszcze, jakiś zawój na głowie i harcapy. Austryacy w tym roku trzymali załogę w Krakowie, i zwerbowali (pewnie nie trzeźwego młodzieńca) do swego czerwonego hufcu. Ojciec pognany do kraju włoskiego, przydzielony został do grenadjerów pułku Bolie, a potem księcia Wirtemberga. Dostał się do niewoli francuskiej, gdzie długo przebywał, tam się nauczył języka francuskiego, a gdy został uwolniony i przechodził przez Czechy, zapoznał się z młodziutką, biedną panienką 15-letnią. Za pozwoleniem rodziców połączył się z nią węzłem małżeńskim w Krakowie na Wawelu.

W r. 1805 wysłużywszy dwie kapitulacye, osiadł w Samborze nad Dniestrem, gdzie aż do śmierci 1844 r. przebywał. Był powszechnie poważany, a chociaż żył na stare lata w nędzy, cały Sambor oddał mu ostatnią przysługę.

Było nas sześcioro żyjących dzieci; t. j. 5. chłopców i najstarsza z rodzeństwa siostra Józefa.

Ojciec chował nas po kapralsku, t. j. surowo, ale bogobojnie. Nie pamiętam, aby się kiedy z którem dzieckiem pieścił, lub które ucałował, albo się z niem pobawił.

Dzieci bały się ojca, a groźna dyscyplina na kołku i bykowiec na chłopców, te były dla nas postrachem i przestrogą, aby na plagi nie zasłużyć. Ale tego trudno było uniknąć, bo chociaż ojciec karał dopiero wtenczas, gdy mu cierpliwości zabrakło, nie pastwił się jednak, nie katował. Widać było po razach, że to czynił z potrzeby; bo się chłopcy po tych razach nieraz zaśmiali, za co odbierali podwójną chłostę.

Pamiętam, żeśmy porządkiem klęcząc, odmawiali z ojcem z rana i wieczór pacierz, bo matka Czeszka nie uczyła nas pacierza. Co roku w wigilię św. Mikołaja przebierał się ojciec za tegoż świętego, z aniołem i djabłem, niosącym rózgę, trwożył dziatki, słuchał pacierza, rozdawał ciastka i obrazki, i groził rózgą tym sposobem wychowanie nasze nieumiejętne ale surowe, odwodziło nas od swawoli. W czasie kary nie mogliśmy się nawet uciekać pod protekcyę matki, która milczeć musiała. Przeciwnie, dodawała słownych admonicyj, nie dziw więc, żeśmy wyrastali w karności. Ojciec sam nauczał początków czytania, a potem wyprawiał do szkoły.

Siostra nasza Józefa, najpiękniejsza dziewczyna w całem mieście, a do tego bardzo roztropna i zręczna do robót niewieścich, lubiana od wszystkich, — padła potem ofiarą uwodziciela, którego sumienie jednakowoż tak gryzło, że sobie później z powodu tego życie odebrał. Cios ten oddziałał strasznie na rodziców.



Nie sprzeniewierzymy się ani na chwi-
ę ideałom świętym, które ogrzewały naszą piers młodzieńczą, a dziś, gdy szron popró-szył włos, a prawie tytaniczna walka, go-rycz i nieustanne przeciwności pochyliły barki nasze, są one jednak jeszcze dość silne, aby wytrwać do ostatniego momentu, ak tylko Bóg wszechmocny długo na to pozwoli.

Wzywamy naszych przyjaciół i wszy-stkich obywateli kraju, do popierania nas w tej nader trudnej pracy. Zażądano od nas, abyśmy pisali „w rękawiczkach“ i nie nazywali rzeczy oraz ludzi za zbyt wyra-źnie po nazwisku. Zgodziliśmy się i na to. Będziemy pisać nawet w podwójnych glan-sowanych rękawiczkach. Wzniesiemy się na-wet do języka salonowego, przyswoimy so-bie wyrażenia parlamentarne; lecz czy i aka pisownia zadowolni naszych „najser-deczniejszych“, o tem śmiemy wątpić i nie mamy najmniejszej nadzieji, abyśmy ich ła-ski mogli sobie zaskarbić.

Jedyna więc rada, jaką im dać możemy, jest ta, aby nam nie dawali powodu o nich pisać. Staraniem naszem będzie, aby poruszać wszelkie działy żywota społeczne-go, mając przedewszystkiem na względzie zawsze wszystkie Ziemie polskie, i to, co się z niemi łączyć może.

Kończąc naszą odezwę, przyrzekamy pracować uczciwie i sumiennie, a równo-cześnie wytrwać, jak długo znajdziemy po-parcie moralne, a materyalne o tyle, aby „Strażnica polska“ wychodzić mogła regu-larnie.

Przegląd polityczny.

Dziwne niespodzianki spotykają obecnie wszy-stkich uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych poli-tyków Europy, — mniejsza o to, do jakiej się naro-dowości zaliczają. I tak: Co tylko narobiła niezwy-kłego hałasu sprawa wysp Karolińskich, dokąd flota niemiecka popłynęła dla zbierania nowych laurów. Wyprawa ta po nowe ogniwo do złotego runa zwy-cięstw kanclerza niemieckiego, miała równocześnie świadczyć o potędze Niemców nietylko na lądzie, ale i na morzu. Co rok, to nowy prorok; niedawno gło-śna wyprawa do Kamerunu, a dziś na Karoliny. Dzi-wna rzecz tylko, że dotąd nie wyszła jeszcze na wierzch i na tych wyspach „intryga polska“; — bo czemużby się i tam nie mógł znaleść jaki drugi np. Rogoziński.

Wyprawa ta sprawiła jednakowoż na obu pół-kulach ziemi niemałą sensacyę, a to z powodu, jak Hiszpanie rozcholeryzowani w tej chwili, przyjęli tę wiadomość. Otóż pokazało się, a może się do tego przyczyniło rzeczywiście choleryczne usposobienie, tyl-ko oddziaływające wprost przeciwnie w skutkach, że Hiszpanie bynajmniej się nie ustraszyli potęgi krzy-żackiej, lecz bez namysłu pokazali jej zęby, i to w tak niedelikatny, nie polityczny sposób, iż nie było zapewne ani jednego poczytalnego śmiertel-nika na obu półkulach ziemi, który na wieść doko-nanego faktu, o zerwaniu w stolicy krajów sztandaru i herbów z ambasady niemieckiej, po zdruzgotaniu tychże i po zdeptaniu, nie był przekonany, że tuż po za tymi faktami nie zabłyśnie ognisty miecz teutoń-ski i krwawe rózgi, które ciężko ukarzą sprosnych Hiszpanów. Stało się jednak inaczej i sprawdziło się przysłowie, że „z wielkiej chmury mały deszcz by-wa“; oto pokazało się, że i p. Bismark nie jest za-wsze tak straszny, jak go malują i umie nawet w da-nym razie poświęcić naruszony honor potęgi niemie-ckiej; nauczywszy się zapewne od nas w Galicyi na-der praktycznego poglądu na takie bagatelki, powie-dział sobie: „Schwamm darüber“.

Wobec takiego wielkiego faktu łagodności, powinniśmy dla siebie wyciągnąć naukę, jak należy nam cenić nasze domorosłe znakomitości i mężów sta-nu, jeżeli z nich bierze sobie przykład nawet kanclerz żelazny.

Ale co tam Karoliny; daleko ciekawszą niespo-dziankę przyniosły nam druty telegraficzne z Bułga-ryi, o bezkrwawem powstaniu, tak niezrównanie wpro-wadzonem na scenę przez mięszaną spółkę dyploma-tyczną, stanowiącą modłę cywilizacyi i postępu w drugiej połowie XIX. wieku.

„Co mi to za powstanie“ powie na to pierwszy lepszy rewolucyonista, ktory takiej akcyi nie rozumie bez barykad, nafty, gilotyny, mitraliezów i t. p. akce-soryów, do jakich nawykł, i jakiemi wstrząsał pań-stwa i narody. Dziś zupełnie co innego; sprawy ta-kie odbywają się z finezyą salonową, byle tylko re-żyserya była zgodna pomiędzy sobą. Wszystko zresztą idzie jak z płatka. Wypadki w Bułgaryi stanowią tylko nowy **modus** dla odegrać się mających in-nych tego rodzaju komedyj lub dramatów. Otóż twier-dzą pewni głębocy politycy, że nadzwyczaj spokojne przyjęcie przez Bismarka, wyzywającej impertynencyi hiszpańskiej, udowadnia tylko coraz więcej jego przy-tomność polityczną, gdy puszcza mimo uszów sprawy drobniejsze, mając na celu celniejszy kąsek. Jego spokojne zachowanie się, ma wrzekomo powstrzymać, aby Bułgarya i Turcya nie pobrały się zarychło za czuby. Nic to jednakowoż nie przeszkadza, gdy politycy europejscy mocno są zaniepokojeni i w żaden sposób nie chcą uwierzyć, aby awantura w Sofii skończyła się jedynie na platonicznych wymianach słów i są-dzie polubownym.

A w ciekawy sposób pojawiła się ta rewolucya, bo nawet o niezwykłej porze dnia. Czynni aktorowie nie szukali nawet tradycyjnych cieniów nocy, tak po prostu, ale elegancko, w biały dzień, w porze śniada-niowej, gdy gubernator wschodniej Rumelii Gawryło Pasza Chrestowicz zjadł dobre śniadanko, zapalił pa-pierosa i zadzwonił na służącego, aby uprzątnął stół, na hasło to zjawił się natomiast jakiś pułkownik re-wolucyonista, w towarzystwie zbrojnych grenadjerów i oświadczył mu, że jest aresztowany. Gawryło spoj-rzał tylko przez okno, a przekonawszy się, że tam asystencya daleko liczniejsza, poddał się bez opozy-cyi nieuniknionej konieczności. Dr. Stransky, dziecię urodzone nad Pełtawą, ogłosił rząd narodowy i pa-nem, rządzącym obydwoma częściami Bułgaryi i wscho-dniej Rumelii, Aleksandra księcia Battenberga. Ot, i koniec rewolucyi, czyli pierwszego aktu, inscenowa-nej tragi-komedyi.

Dla nieznających tamtejszych stosunków daje-my objaśnienie;

Oto już na konferencyi berlińskiej podzieloną została Bułgarya na dwie części, czem Rosya miała być zgorszoną i niezadowoloną, gdy na północ Bałka-nu położony Sandżak, Widin, Tyrnawa, Ruszczuk i Warna, jakoteż na południe Bałkanu położony, lecz górami odgraniczony Sandżak Sofijski, połączone zo-stały autonomicznie, jednakowoż jako księztwo, mają-ce opłacać haracz Turcyi, pod panowaniem księcia Aleksandra Battenberga. Natomiast południowa część otrzymała nazwę wschodniej Rumelii i jako autono-miczna prowincya tureckiej monarchii, pod zarządem przez Turcyę mianowanego i przez inne mocarstwa potwierdzonego chrześcijańskiego gubernatora, dotąd pozostawała, używając wrzekomo pewnych przywile-jów. Krajowi temu wolno było utrzymywać własną milicyę i nie dopuszczać załogi tureckiej, albowiem Turcya miała tylko prawo na wypadek konieczności obsadzać warownie pograniczne swojem wojskiem i li tylko w razie niebezpieczeństwa wewnętrznego, lub zewnętrznego pokoju, wolno jej było wkroczyć we-wnątrz kraju. Poprzednio obowiązaną była Turcya za-wiadomić zastępców obcych państw o tym kroku, re-zydujących w Konstantynopolu, jakoteż o przyczynach takiego kroku. Bułgarzy nie sprzyjali takiemu roz-dwojeniu od samego początku. Rozmaite objawy, ja-koto zebrania, deputacye, memoryały, artykuły dzien-nikarskie, a nawet wprost rewolucyjne zachcianki, świadczyły dostatecznie i dozwalały przewidywać, co się stać może. Że ruch ten inscenowali emisaryusze rosyjscy, o tem każdemu wiadomo w Bułgaryi, a na-wet na zewnątrz. Poręczające państwa za dochowanie warunków umowy, nie trudziły się zbytecznie w pil-nowaniu tychże, przymykając oka i nie słysząc, co się dzieje na miejscu. Takiemu ignorowaniu przypi-sać też należy, że żywioł turecki bywał przygniatany, wskutek czego Turcy w znacznej ilości opuścili kraj, ci zaś, co pozostali, opuścili zupełnie arenę publicz-nego żywota.

Jeżeli to wszystko zważymy, to usunięcie Ga-wryła Paszy, oraz proklamowanie księcia Aleksandra na księcia wschodniej Rumelii, nie powinno nikogo zadziwiać i być dlań niespodzianką. Inaczej jednak przedstawia się postępek tego księcia wobec wypad-ków poza Bałkanami, który nic spieszniejszego nie miał, jak stanąwszy na czele ruchu, zmobilizować na-tychmiast armię, zwołać „sobranie“ czyli sejm i udać się bez straty czasu do Filipopola, aby tam przyjąć hołd, jako Pan wschodniej Rumelii.

Jasne światło rzuca na tę sprawę podroż księ-cia Aleksandra i konferencye jego w Wiedniu i Fran-censbadzie, z różnymi mężami stanu, a mianowicie z Giersem. Zaledwie miał tyle czasu, aby powrócić do swego kraiku, wybucha bezkrawe powstanie, od-rywając jednę prowincyę od Turcyi. Wątpimy, aby ktoś był tak naiwnym, iżby twierdził, że młodziutki książę Aleksander jedynie na zaproszenie kilku zre-woltowanych batalionów, takie przedsięwziął kroki, jakimi dotąd poszedł, zabierając się do połknięcia ca-łej prowincyi, która o połowę jest większą od jego państewka. O tem powinien albowiem wiedzieć, że

---

Pomiędzy nami braćmi panowała zgoda. Nic to nie przeszkadzało, żeśmy czasem poszli w czu-by, aż nas dyscyplina ojcowska uspokoiła.

Między tylu braćmi różnego usposobienia i my-ślenia, objawiały się w dziecinnym wieku oznaki przyszłego ich zawodu, a może przeznaczenia. Naj-starszy Jędruś miał szczególną pasyę stawiać tyki, a na nich wiązać nitki i szpagaty, niby to mury jakichś wydumanych fortec, to w czworograny, to w kółka, lub sześciokątne. Otóż wróżył sobie, że bę-dzie kiedyś „kanonierem i bombardyerem“. Sliczny chłopiec jak krew z mlekiem. Nie mógł jednak in-nych szkół ukończyć jak w Samborze. Potem odda-wał się muzyce, do której miał wiele talentu. Chcąc uniknąć przymusowej branki do wojska, pojechał do Lwowa i tam zaciągnął się do artyleryi; a wy-służywszy swe lata z największą pochwałą woj-skową, starał się o jaką służbę publiczną i z wiel-ką biedą został „amtsdienerem“, chociaż mu się przynajmniej posada woźnego z płacą 300 złr. na-leżała, lecz wtenczas Polacy byli bardzo upośledze-ni. Niemcy i Czesi zabierali wszystkie lepsze miej-sca, prowadził się nawet handel posadami. Brat się gryzł, bo chociaż pełnił najgorliwiej i sumiennie swe obowiązki, był nieustannie podejrzywany, dla tego, że był moim bratem. Z tego powodu zmuszo-ny był i tak nędzną służbę opuścić; umarł w nę-dzy, pozostawiwszy sześcioro dzieci.

Ja drugi brat po Jędrzeju, miałem znów upo-dobanie w książce. Czytywałem różne ciekawe hi-storyjki, a zrobiwszy sobie ołtarzyk, zapaliwszy świe-czki woskowe własnej roboty, śpiewałem litanie i inne pieśni. Prorokowano, że będę księdzem. W wa-kacye służyłem do mszy świętej.

Zabawy i lamparterye braci lub innych kole-gów nie wyciągały mię z domu; przez co też nie umiem dziś ani pływać, ani jeździć konno, ani się ślizgać, ani tańczyć, ani skakać. Za to w tem wszy-stkiem zastąpił mię mój brat Jan, który się póź-niej wyuczył krawiectwa.

Po nim Dominik, stateczny i miły chłopczy-na. Ukończywszy z dobrym postępem szkoły t. zw. niemieckie, gdy chciał wstąpić do szkół łacińskich, zabroniono mu z tego powodu, że już przekroczył rok 12. o miesiąc. Takie bowiem istniało prawo barbarzyńskie, że już 13-letni chłopiec nie mógł pójść do wyższych szkół. Tak utrudniano naukę i oświatę. Rozgniewany ojciec oddał chłopca do rękawicznika.

Ostatni brat Wojciech, najpiękniejszy z nas i najżywszy, zapalczywy, ale dobrego serca, uczył się dobrze, lecz w ostatniej klasie łacińskiej posprze-czawszy się z profesorem Niemcem, wielkim wro-giem Polaków, zmuszony był porzucić szkoły, a chcąc uniknąć wojskowości, zaciągnął się do stra-ży pogranicznej finansowej. Wkrótce został nad-strażnikiem. Służbę swą pełnił gorliwie, ale był człowiekiem honoru. Służył lat 12, i nie chciano go awansować na respicyenta, chociaż awansowano innych, prawdziwe oczajdusze. Pewnego razu, przy-był do Złoczowa do komisarza, który był jego zwierzchnikiem, a niemiecki Czech z urodzenia. Py-tał go, dlaczego dotąd nie jest podanym do awan-su. Na to mu komisarz odpowiedział: — Bo jesteś źle myślący“.

— Jakto źle myślący, dlaczego? — zapytał brat.

— Bo bywasz po dworach i bawisz się ze szla-chtą polską, a oni ciebie lubią i pewnie z nimi do buntów należysz.

Brat nie wiele się namyślając, porwał komi-sarza za piersi i jakoś niedelikatnie się z nim roz-prawił. Znał bardzo dobrze sprawki tego komisarza, to mu też zaczął wypominać w oczy. — "To wy chcecie, żebym ja z wami kradł, a że nie chcę kraść i dzielić się z wami, to wy mnie wyrzucacie stosunki z uczciwymi ludźmi jako zbrodnię?“.

I znów okładać pana komisarza, a rzuciwszy go pod stół, wypadł, wsiadł na koń, i zmykał do Kamionki. Za nim wpadli żandarmi, okuli w kajda-ny i odstawili do Złoczowa. Do protokołu nie chciał nic zeznawać, milczał uparcie, chociaż się z nim najokropniej obchodzono i dręczono głodem. Gdy uporu tego nie mogli przełamać, oddali go do woj-ska. W pierwszej chwili chciał sobie kulę w łeb wsadzić, lecz poczucie religijne, odniosło zwycięz-two. Oddał się na wolę bożą i po kilku latach zo-stał oficerem. Lecz znowu podejrzywany jako „źle myślący“, już nie awansował. Wziął wreszcie dy-misyę i żyje ze szczupłej pensyi w Samborze.

Szkoły.

. . . .

System germanizacyi był jednem z główny przykazań. Do nauki w szkołach wybierano odp

Turcya pomimo swej słabości, ma na tyle sił, aby bataliony jego obydwóch prowincyj zetrzeć na miazgę. Uczynił on to jedynie na rozkaz i zapewnienia dane mu z góry.

Co zaś Turcya uczyni wobec zapewnień jej, o najszczerszej i najprawdziwszej przyjaźni ze strony w losie jej biorących udział innych monarchij, czy się zgodzi dobrowolnie na amputacyę podług najświeższego systemu rozczłonkowania ciała, o tem nie można wyrzec ani tak ani siak.

Że inscenowanie tego zaboru zrodziło się już na konferencyi berlińskiej, nie ma najmniejszej wątpliwości. A że niańką tego nowonarodzonego dziecka była Rosya, to także pewnik; to też komedyjka, jaką dziś gabinet rosyjski odgrywa, jest co najmniej śmieszną. Dzienniki rosyjskie donoszą, jaki niesmak wzbudziły w Petersburgu „niespodziane“ wieści z Rumelii, których car pochwalić nie może i jest po prostu zgorszony takim postępkiem księcia Aleksandra.

Jeżeli zaś porównamy daty telegramów różnych dzienników, mianowicie rumuńskich, to z tych się przekonujemy, że setki oficerów rosyjskich i wolontaryuszów niemal w tej godzinie, gdy Bułgarzy powstali, panowie oficerowie i ochotnicy już spieszyli na arenę akcyi. Wątpić zaś należy, by takie setki oficerów przesłane być mogły drutem telegraficznym, gdy balony nie są jeszcze udoskonalone, chociażby tylko do granicy rumuńskiej. Rzeczą jasną, że rozkazy doszły ich znacznie wcześniej i czekali tylko hasła nad granicami.

Że rewolucya ta jest pożądanym faktem dla Rosyi i naprzód dobrze obmyślanym, to pewnik jeden; a drugim jest ten, że chcąc uzyskać aprobatę, potrzeba się było porozumieć wprost z „poczciwym faktorem“ i z innymi interesowanemi osobistościami. Tu więc należy szukać punktu ciężkości sprawy, jaka będzie przedsięwzięta wymiana towaru terytoryalnego. Czy Austrya zgodzi się n. p. i przeoczy następstwa zamknięcia jej drogi do Saloniki, to niemniej rzecz ciekawa. W każdym razie można się spodziewać, że ...nim odegrany zostanie ostatni akt, zbierze się wprzód ...onferencya mocarstw, które zagwarantowały bezpieczeństwo Turcyi. Zważywszy, że dziś wobec upadku ...redytu robią się tylko interesa „z rączki do rączki“ ... każdy interesant, mający udział w jakiemkolwiek ...rzedsiębiorstwie, żąda przedewszystkiem wypłaty go...wki, to i w tym wypadku możemy się doczekać ...rdzo ciekawych zmian terytoryalnych, jeżeli Turcya ...e zaprotestuje czynnie przeciwko złupieniu jej Wert...eimówki.

Na zakończenie tych poglądów, musimy jeszcze ...zucić chociaż na chwilkę okiem na wyjęcie Polaków ... pod praw ludzkich, na który to czyn odważyły się ...iemcy. Zapytujemy najsłabszego nawet myśliciela, ...k on się zapatruje na tę wielką potęgę Niemców, ...zącą czterdzieści milionów. Czy ta potęga jest rze...ywiście na takich silnych podstawach ugruntowaną, ...ką się być mieni? — Nam się zdaje, że tu więcej ...dawania, jak rzeczywistości. Przedewszystkiem wi...oczny tu jest brak czystego sumienia, które nawet ...akich potentatów zwykło straszyć w dzień i w nocy ...ak duch Banka. Zastanówmy się nad tem spokojniej: ...akąż wagę kłaść może taka czterdziesto-milionowa ...otęga na atom cyfrowy 30 kilku tysięcy ludzi, któ...ych jedynym losem jest ciężka praca fizyczna i w ...ocie czoła zdobywanie bytu codziennego.

A jednak, jestto dla krzyżackiej potęgi straszne widmo, które go ściga od Psiego pola. Grunwaldu — aż po nasze czasy. Wystarcza nawet dla Bismarków, aby krążyła chociaż jedna kropla krwi polskiej w żyłach najmizerniejszego śmiertelnika, bo czucie tejże kropelki odbierało mu sen spokojny i nakazywało bez ustanku czuwać. Jestto fakt prawdziwy, a wielce pocieszający dla nas, że z siłą naszą, chociaż tylko moralną, muszą się liczyć i takie potęgi.

Znęcanie się Niemców nad nieszczęśliwymi braćmi naszymi, jest bolesne, ale dodaje nam siły do wytrwania i wiary w przyszłość. Od nas jedynie zależy, czegośmy nie mogli wywalczyć orężem, to Bóg da, że zdobędzie my siłą moralną, opartą na woli naszej.

Zakład św. Kazimierza w Paryżu.

Piękne są i pożyteczne emigracyjne instytucye. Każda z nich utrzymuje się ofiarnością i pracą naszego społeczeństwa i w oczach ludzi bezstronnych, zdolnych do wydania sprawiedliwego sądu, służyć może jako jeden jeszcze więcej dowód żywotności polskiego narodu i potężnej w nim siły organicznej.

Wygnani z własnego kraju, Polacy tworzą na tułactwie narodowe instytucye, które zapobiegając zlaniu się z obcem społeczeństwem, rozwijają w nich pierwiastek samorządny, państwowy.

To nam tłumaczy wielką doniosłość emigracyjnych instytucyj i wyjaśnia zarazem powody, dla których każdy prawy Polak jest do nich serdecznie przywiązanym, jakby do własnego mienia i do własnej chwały.

Takiem też przywiązaniem cieszy się „Zakład św. Kazimierza“, niezawodnie jedna z najpiękniejszych i najpożyteczniejszych emigracyjnych instytucyj, która się utrzymuje zbiorowemi siłami, wywołanemi przez pracę i zabiegliwość ubogiej zakonnicy, na Litwie urodzonej, siostry Teofili Mikułowskiej.

Ona to, ta słaba, ciężarem lat obarczona niewiasta, swoim niezmordowanym trudem i poświęceniem bezprzykładnem, utrzymała wśród największych burz ten Zakład i nie dopuściła jego upadku, — jej zawdzięczamy głównie i przedewszystkiem, że dotąd istnieje, że się rozwija i tworzy wiele dobrego, dając przytułek sędziwym weteranom narodowej sprawy i wychowanie sierotom, pozostałym na tułactwie po ojcach zasłużonych.

Z ostatniego sprawozdania dowiadujemy się, że w roku 1884 miał Zakład św. Kazimierza w Paryżu 53.635 fr. 70 c. dochodu i 59.165 fr. 45 c. rozchodu. Rachunek zamknął się więc deficytem w kwocie 5.530 fr. 25 c., który pokryć muszą składki i ofiary następnego roku.

Rozpatrując się bliżej w poszczególnych pozycyach sprawozdania, widzimy, że renty i procenty od kapitałów, będących własnością Zakładu, wynoszą tylko niewielką stosunkowo sumę 3.187 fr.

Główne źródło dochodu w roku objętym sprawozdaniem, stanowiły dary. Dały one kwotę 20.105 fr., która jest chlubnem świadectwem ofiarności Polaków i Polek, jako też sprzyjających nam Francuzów i Francuzek, przyjaciół polskiej sprawy, tej sprawy, która tylko przez ludzi nikczemnych nie jest uznaną za sprawę słuszną i sprawiedliwą.

Rząd francuzki płaci Zakładowi rocznie 14.240 fr. na utrzymanie weteranów, ministeryum zaś spraw wewnętrznych udzieliło 5.000 fr. subsydyum.

W Zakładzie znalazło w 1884 r. przytułek 32 weteranów i pobierało w nim wychowanie 56 dziewcząt i 18 chłopców.

Dziewczęta po ukończeniu wychowania umieszczane bywają najczęściej w Polsce, gdzie znajomość języka polskiego ułatwia im znalezienie odpowiedniego zatrudnienia, znajomość zaś języka francuzkiego czyni je wielce pożądanemi, jako bony do dzieci w zamożniejszych domach.

Zakład św. Kazimierza obsługiwany jest i utrzymywany przez Siostry miłosierdzia.

W Paryżu mieści się przy ulicy du Chevaleret 119. Jest tu kaplica i obszerne przy niej budynki, w których mieszkają zakonnice, uczące się w zakładzie dziewczęta i weterani narodowej sprawy.

Ci ostatni mieszkają w skrzydle budynku, zbudowanym na dziedzińcu.

Każdy weteran ma swój osobny pokoik i obsługę. Obiady, śniadania i wieczerze jadają w wspólnej sali, lub też każdy u siebie w pokoju,

Jest też mała dla weteranów biblioteka i gazety.

Obchodzenie się z dziećmi i z starcami jest wzorowe.

Z przytułku u św. Kazimierza korzystało już wielu znakomitych ludzi, których czyny chlubne opisała historya.

Wspomnimy tylko niektóre nazwiska, jak jenerała Józefa **Wysockiego**, Tomasza **Olizarowskiego** poety, Cypryana **Norwida** poety, malarza i rzeźbiarza i Leonarda **Rettla**, zmarłych w Zakładzie św. Kazimierza, ażeby wykazać pożytek jego i powiedzieć, jak szacownym, potrzebnym i chlubnym jest przytułek, jaki znajdują tu na starość emigranci, gdy choroby i wiek osłabią ich siły, brak zaś środków nie pozwala im na wygodne w własnym lokalu życie.

Żaden dom inwalidów na świecie nie jest tak chwalebnym, pięknym i sławnym przytułkiem dla zasłużonej starości, jak ten Zakład św. Kazimierza.

Przyjęcie do niego jest już świadectwem zasługi i chwały.

Nad chwałę zaś dobrych synów pokrzywdzonej Ojczyzny, którzy się poświęcali, aby tę Ojczyznę z niewoli wydobyć, niema większej chwały na ziemi, i niema też większej zasługi, nad zasługi tych, którzy pod hasłem Boga i Ojczyzny pracując i walcząc, stali się obrońcami prawdy i sprawiedliwości.

Od swojego założenia aż dotąd, Zakład św. Kazimierza był dla przeszło dwustu w ten sposób zasłużonych Polsce i ludzkości starców ostatniem schronieniem.

Kończąc w nim życie, umierali nie samotnie, lecz otoczeni współczującemi sercami, jakby na łonie rodziny.

Jednocześnie w tymże samym czasie, gdy Zakład św. Kazimierza zamykał powieki dwustu przeszło emigrantom dobrze zasłużonym, przysposobił do życia i zasługi przeszło pięćset sierot lub dzieci ubogich rodziców polskich.

Dzieci te byłyby wyrosły na bruku paryskim być może na zakałę imienia polskiego; Zakład św.

...iedne indywidua. Z całą surowością tyranizowano ...ziatwę polską w szkołach ludowych, gimnazyalnych i na wszechnicy.

Dzieci ledwie językiem macierzyńskim paplające, ćwiczono bez miłosierdzia w obcym im zupełnie języku niemieckim, a to nie tylko po miastach, ale i po wsiach. Chłopczyna przyjęty do szkoły głównej, normalnej czyli niemieckiej, musiał tłumaczyć niemieckie książki, ucząc się jak papuga niezrozumianych i nigdzie nie słyszanych wyrazów niemieckich; a jeżeli miał słabą głowę i takąż pamięć, bito go bez miłosierdzia. Okropne to były czasy, gdy tego języka naukę, rózgą, a najczęściej kijem dzieciom do głowy wkładano.

Nauczyciele surowi jak kaci, mieli szczególne upodobanie w chłostaniu dziatek ubogich. Przechodzącemu mimo szkoły, aż się krew ścinała, gdy usłyszał łopot kijów i jęk bitych dziatek, krzyczących w niebogłosy z bolu. Bakałarze tak się lubowali w chłostaniu dziatek, że byli smutni, gdy im dzień, co się rzadko trafiało, upłynął bez bicia. Im więcej który nauczyciel katował dziatwę, tem lepszą posiadał reputacyę, tem większe skarbił sobie u starszych zasługi, gdyż to znamionowało gorliwość w szerzeniu języka niemieckiego.

Oddany do szkoły w r. 1821, uczyłem się do...ze i byłem pomiędzy pierwszymi; mimoto nie ...zedłem katowania. Razu pewnego przed godziną ...kolną hałasowała dziatwa. Wtem otwiera drzwi ...oźny nauczyciel Tuziakiewicz, exkapral, szczególny ...strz w ćwic... ...o każdy uczeń w późnym wieku nawet, jeszcze pamiętał. Pomimo, że do hałaśników nie należałem, chwycił mię jak tygrys w swe szpony, szarpiąc nielitościwie za włosy. Nie dość na tem, grubym końcem pręta wybił na drobnej mojej ręce 7 czy 8 razy. Ręka paliła jak ogniem; pomimo to schowawszy ją do kieszeni i utuliwszy się w płaczu, nie wspomniałem nic w domu o tym basarunku. Aż tu w nocy ręka okrutnie spuchła, zaczęła strzykać i począłem jęczeć. Ojciec pyta o przyczynę: — „Ręka mię boli okropnie — odrzekłem“. A pokazawszy ojcu opowiadałem, że mię profesor bił „na pacę“ za to, że drugie chłopczyki wrzeszczeli, a on myślał że to ja.

Oburzony takiem postępowaniem ojciec, poszedł ze mną i zburczał tak okrutnego nauczyciela. Rękę opuchłą leczył lekarz i zdejmował z niej skórę jakby rękawiczkę.

Takich to my katów mieli za nauczycieli. To jednak uwagi godne, że ci oprawcy zwykle znęcali się nad biedakami, wystrzegając się tknąć dzieci wyższych urzędników lub bogatszych rodziców, chociaż bardziej zasługiwały na karę. Lecz nie tylko ten „Tuziak“ — jakeśmy go nazywali, ale nawet osoba duchowna, ksiądz katecheta bił kijem studencików, którzy katechizmu po niemiecku wykładanego nie umieli.

Razu pewnego bratu rodzonemu wsypał odlewanych dziesięć kijów za niemiecki katechizm.

Druga klasa w Samborze miała strasznie surowego nauczyciela, który trwogą przerażał, gdy się kto na niego popatrzył. Zwał się Sikorski. Pamiętam go dobrze; był wysoki, kościsty, obrosły w bakenbardy, bo taka była moda, bez wąsów. Nosił wysokie kołnierzyki i „halsbindel“ jak chomonto, w który się jego twarz śniada mieściła dziwacznie. Zasiadał na katedrze krzesło wraz z swoim mopsem i grubym głosem opowiadał dzieciom swoje tureckie kazanie. Biada temu, kto wskazany palcem nie trafił na odpowiedź, zgodną z pytaniem. Zaraz wezwany „**in die Mitte**“ — t. j. na środek, wyczekiwał na egzekucyę. Przy końcu godziny padały kije na kilkunastu delikwentów, których starsi chłopcy ćwiczyli, trzymając za głowy i nogi, a czasem bito „na gółkę“ — ale za tablicą. Kapral taki miał rozkosz w chłostaniu dzieci. Egzekucya odbywała się rano i popołudniu. Był to chleb powszedni uczącej się dziatwy, a nikt na to skargi nie podnosił, bo tak opiewało szkolne rozporządzenie. Chociaż trafiały się omdlenia, kurcze i epilepsye, to nikt nie odważył się wystąpić ze skargą.

Co sobotę po południu Sikorski musztrował dziatwę, która przed nim defilować musiała i pokazywać buty, ręce, głowę. Biada temu, kto nie miał czystych i całych butów, poobcinanych paznogci, czystych rąk, wyczesanej głowy i obłatanej sukni. Nie raz Sikorski podchodził dziatwę, bawiącą się w piłkę lub ślizgającą. Wtenczas kogo napotkał, bił. Często wychodził za miasto, a zaczaiwszy się w jakim kącie, czatował na uczniów.

Razu pewnego, gdy śnieg prószył, idąc do szkoły, spotkałem pana profesora. Zadrżałem jak królik przed wężem Boa; chciałem zerwać z głowy czapkę, nie mogłem, bo była bardzo zaciśnięta. Tuż przeszedł Sikorski, nim zdołałem ściągnąć czapkę

Kazimierza zapobiegł temu i wychował je na użytecznych pracowników ludzkości, którzy Ojczyznie usłużyć potrafią w trudnej jej doli.

Oprócz obszernych budynków przy ulicy du Chevaleret (119), Zakład św. Kazimierza posiada pod Paryżem, w departamencie Seine et Oise, we wsi Juvisy dom i ogród, który dla polskich weteranów ofiarował hrabia i hrabina de Monttesuy, dając przez tę szlachetną ofiarność wyraz współczucia, jakiem byli i są ożywieni dla sprawy naszego narodu. Nazwisko ich zapisane jest w wdzięcznych sercach polskich.

W Juvisy mieszka kilkunastu weteranów i mieści się szkoła dla chłopców, którą Siostry Miłosierdzia starannie prowadzą.

Weteranom z Juvisy pozwolił hrabia i hrabina de Monttesuy używać przechadzki w pobliskim swoim parku, jaki otacza ich zamek.

Szanowne ich nazwiska znajdujemy pomiędzy temi osobami, którym Zakład św. Kazimierza zawdzięcza powstanie, wzrost i utrzymanie swego istnienia.

Oto są te osoby: księżna Adamowa Czartoryska i hrabina Xawera Grocholska. Zaraz po tych dwóch matronach polskich czytamy nazwisko hrabiego i hrabiny de Montessuy, później zaś dopiero nazwiska wielu innych dobroczyńców, tak rodaków, jak cudzoziemców.

Pomimo ich ofiarności i zasiłków gościnnej Francyi, Zakład św. Kazimierza nie może podołać wszystkim wydatkom, które ciągle rosną w miarę zwiększającej się liczby potrzebujących pomocy. Widzieliśmy, że i w r. 1884 był dość znaczny deficyt.

Ażeby w przyszłości uniknąć niedoborów i utrwalić byt instytucyi przez powiększenie jej kapitału fundacyjnego i tym sposobem zrobić niemożebnym upadek Zakładu św. Kazimierza, Rada opiekuńcza postanowiła urządzić loteryę na wielką skalę i wystawę fantów, oraz celniejszych utworów polskiego malarstwa i rzeźby w Paryżu i w Londynie.

Rząd francuzki zezwolił na urządzenie loteryi i przygotowania do niej jak i do wystawy raźnie postępują.

Rada opiekuńcza jeszcze 15. Sierpnia 1883 r. wydała odezwę do artystów polskich, w której, rachując na ofiarność, jaka ich tak chlubnie wyróżnia wśród artystów świata całego, uprasza o nadsyłanie obrazów i szkiców na loteryę i wystawę.

Obok spełnienia dzieła dobroczynności, młoda sztuka polska będzie miała sposobność przedstawić się po raz pierwszy światu na tej wystawie zbiorowo jako całość.

Dotąd znają sztukę polską za granicą ze znakomitych, ale pojedynczych tylko obrazów, tu może ona wystąpić w swoim indywidualnym charakterze i da się poznać jako odrębna szkoła polskiego malarstwa.

Cel więc dobroczynny, piękny i szlachetny, a prawdziwie patryotyczny, jakim jest niesienie pomocy styranemu na usługach Ojczyzny starcowi i słabemu dziecięciu, mającemu wyrość na dobrego dla Polski sługę, złączy się z wysokim celem artystycznym, również pięknym, szlachetnym i patryotycznym.

Urządzenie w Paryżu i w Londynie wystawy polskich obrazów i posągów, będzie bardzo doniosłym faktem.

Swiat się przekona, że Polacy dobijając się niepodległości politycznej, jako naród, odzyskali pomimo ucisku i ciemności, cywilizacyjną samodzielność. Wystawa ta wywoła wniosek ludzi bezstronnych, przyznający nam moralny i cywilizacyjny byt.

Polski naród posiada własną, świetną literaturę, w której poezya tak wygórowała, że nie ma równej sobie tak co do wielkości idei, jak i piękności formy; posiada także i własną sztukę polską.

Tak, nie ulega wątpliwości, że jeżeli wystawa zdoła zgromadzić najcelniejsze utwory pędzla polskiego, sztuka polska zawdzięczać będzie Zakładowi św. Kazimierza uznanie za granicą swej odrębności.

Na odezwie Rady opiekuńczej Zakładu św. Kazimierza do artystów podpisani są: Prezes: książę Władysław Czartoryski; Wiceprezes: Margrabia de Varennes; Prezydentka: hrabina de la Redorte; Wiceprezydentka: hrabina de Monttessuy i Sekretarz: Dyonizy Zaleski.

Nie wątpimy, że artyści odpowiedzą położonemu w nich zaufaniu i wezmą liczny udział w wystawie. Loterya i wystawa jeżeli się powiedzie, przyniesie Zakładowi św. Kazimierza kilkaset tysięcy franków. W powodzenie niewątpimy, bo nie wątpimy w szlachetność i ofiarność Polaków i Polek.

Bilety rozsprzedają już we wszystkich niemal krajach Europy i Ameryki. Co do przedmiotów na loteryę fantową, nie będzie ich brakowało. Każdy kraj będzie miał na wystawie osobny dział dla przedmiotów, jakie ofiarował na loteryą. Smutnem byłoby, gdyby polskich przedmiotów było mniej, niż z innych krajów i gdyby były mniejszej wartości.

Niechaj każda Polka weźmie do serca swego los Zakładu św. Kazimierza i honor kraju, a nie wątpimy, iż rodaczki nasze dostarczą fantów, które podobnie jak polskie obrazy, obudzą podziw świata

Popierajmy gorliwie całe to przedsięwzięcie. Ułatwiajmy rozsprzedanie biletów i sami według możności nabywajmy je. Wspólnemi siłami wiele dokonać można.

Tem chętniej zaś przykładajmy ręce do tej wspólnej roboty, iż przyniesie ona nie tylko ogółowi, ale każdemu z pracowników niemałą osobistą korzyść, bo moralne podniesienie i wydoskonalenie charakteru. Po wielekroć razy sprawdzono, iż ludzie nie leniwi w pracy wspolnej dla dobra publicznego, uczą się żyć publicznie i wyrabiają w sobie cenne przymioty obywatela. Gdy się nauczymy wspólnemi siłami dźwigać i utrwalać instytucye narodowe i dobroczynne, nauczymy się przez to samo skutecznych sposobów dźwigania Ojczyzny.

Jedno z drugiem się łączy, jedna nauka wywołuje drugą, — nie ma zaś pracy i nie ma ofiary podjętej w imię Boga i Polski, którąby bezpośrednio nie zmierzała do oswobodzenia Ojczyzny.

Bądźmy więc przekonani, że dając poparcie przedsięwzięciu Rady opiekuńczej i pomagając w Jej chwalebnem usiłowaniu utrwalenia bytu Zakładu św. Kazimierza, każdy z nas dostarcza tej małej cegły, jaka jest potrzebną do wzniesienia wielkiego budynku.

Dodajmy na chlubę Polski, że jeden z naszych zamożnych rodaków raczył wziąć 2000 biletów.

Ciągnienie loteryi postanowiono przez Ministra w miesiącu grudniu 1886 r.

Biletów dostać można w biórze loteryi, 108, rue Saint Dominique; u Dam Członków Towarzystwa; w domu św. Kazimierza, 119. rue de Chevaleret; w Księgarni Pana Mickiewicza i w Redakcyi *Kuryera Polskiego w Paryżu.*

Nie z naszej winy spóźnione.

Sprawa, którą tu podnosimy, jest tylko dalszym ciągiem naszych studyów i doniesień o Zakładzie dla starców i sierot w Drohowyżu.

Jak wiadomo, objął kuratoryę fundacyi ś. p. hrabiego Stanisława Skarbka, hrabia Henryk Skarbek. Dla niepojętych i niezrozumiałych ogółowi społeczeństwa w kraju powodów, spełnia hrabia Henryk Skarbek obowiązki swe dotąd prowizorycznie. Są jednak nawet zwykli śmiertelnicy, którym przyczyny tego senzacyjnego prowizoryum znane dobrze, ale byłoby za wcześnie rozwodzić się nad niemi. Jesteśmy zresztą tego przekonania, że główni twórcy tego prowizoryum przekonają się wkrótce, iż wszelkie tego rodzaju sztuczki są nadal niemożebne, jeżeli cała sprawa nie ma rozszerzać nader przykrej woni.

W Drohowyżu zaszedł jednakowoż w bież. r. tak ciekawy fakt, który wybornie ilustruje tameczne dotychczasowe stosunki, a szczególniej na wielką skalę rozwielmożnianie się pp. funkcyonaryuszów, którzy nie mogą pojąć tego, że Zakład ten nie jest zależny od ich wyłącznego i absolutnego samorządu. Rzecz się tak ma:

Na dzień 1. Sierpnia r. b. naznaczony był egzamin roczny w Zakładzie drohowyzkim. Nowy kurator hr. H. Skarbek uznał za właściwe przesłać zaproszenia nietylko różnym wybitniejszym osobistościom, ale i wszystkim redakcyom lwowskim, bez względu, jak się takowe dawniej o fundacyi wyrażały. W rzędzie tych zaproszeń znalazła się i redakcya *Wiadomości rękodzielniczo-przemysłowych*, której przedstawicielem jest J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Na wiadomość tę, powstało pomiędzy pp. funkcyonaryuszami w Drohowyżu wielkie oburzenie. Naturalnie, że na czele tego oburzenia stanął p. Juliusz Starkel, dyrektor tegoż zakładu i katecheta ks. Banach. Ci oświadczyli p. kuratorowi, że na wypadek, gdyby redaktor *Wiadomości rękodzielniczo-przemysł.* przybył na egzamin do Drohowyża, w takim razie nietylko, że się usuną od egzaminu i nie będą obecni, ale zagrozili awanturą na wielką skalę. Te wszystkie groźby nie spowodowały jednakowoż p. kuratora do cofnięcia zaproszenia na egzamin publiczny redakcyi *Wiadomości rękodzielniczo-przem.*, gdyż p. kurator nie wchodził słusznie w to, kto będzie tę redakcyę reprezentował.

Pp. funkcyonaryusze tak się jednakowoż rozbrykali i postawili sprawę na ostrzu noża, że p. kurator z obecnymi kilku członkami Rady zawiadowczej zgodzili się na nieobecność p. dyrektora Juliusza Starkla, a księdza Banacha bezzwłocznie od czynności usunęli. Gdy redaktor *Wiadomości rękodz.-przem.* Gniewosz przybył do Drohowyża, rewolucya funkcyonaryuszów nie dała za wygranę i wydelegowała jednego z najodważniejszych swych członków p. Łazowskiego, zarządcę warsztatów, aby ten objaśnił redaktora Gniewosza „o wielkiem rozgory-

---

z głowy. Gdy przyszedłem do szkoły, odpłacił mi za to sowitym basarunkiem. Słowem, Sikorski więcej bił, niż uczył, a był już w podeszłym wieku.

Mopsa, którego prowadził do szkoły, drażniliśmy z deleka różnymi grymasami, tak długo, aż pies zaszczekał. Figle te odpłacał profesor prętem. Bił też za to, że uczniowie uśmiechali się, gdy pił w szkole piwo. Bił Sikorski, aż się raz rozzuchwalił i kazał wsypać siedm pręcików synowi jakiegoś szlachcica, wskutek czego przeniesiono go do Jasła i tam znowu oddano szkołę temu wysłużonemu kapralowi od artyleryi, który jak słyszałem, jeszcze bardziej ćwiczył ubogich chłopców.

W trzeciej klasie już ani słowa nie słyszałem po polsku, tylko kaleczono język niemiecki bez miłosierdzia.

Po zmarłym dyrektorze szkoły Kabacie, który do późnej starości był w urzędzie, liczył bowiem do 90 lat, i miał już srebrny medal zasługi, za nader gorliwe spełnianie germanizacyi, zastępował go młody ksiądz Będziński, jakby świeżo z igły zdjęty, z Wiednia przybyły, ćwiczył się dla rozrywki w trzepaniu młodzieży po tybinkach i z szczególną łagodnością oddawał często katechecie uczniów do ćwiczenia.

Oćwiczono i mnie raz z jego rozkazu, a to z tego powodu, że siedząc w ławce między paniczykami, pokazywałem im figle z lalkami, które w domu z gałganków zeszywałem i do szkoły przynosiłem. Gdy się chłopczyki zaczęli z tych lalek śmiać, ksiądz dyrektor zapytał o przyczynę. Oćwiczony porządnie siedzieć musiałem pod stolikiem na oku nauczyciela, gdzie znów figle z lalkami dalej płatałem, i powtórnie mię schwytano na uczynku. Odebrałem podwójne plagi i usadzono mię w osobnej ławce.

W tym roku mało nie padłem ofiarą śmierci. Wyszedłszy ze szkoły, gwarzyłem z kolegami, idąc do domu. Nadjechał chłop wozem, czego ja nie spostrzegłem. Dyszel uderzył mię w głowę; upadłem. Wszyscy myśleli żem zabity. Chłop zmykał, co konie mogły wyskoczyć, ale dziatwa goniła go daleko i uchwyciła. Z rozbitem czołem, krwią zalanego, wzięto mię do bliskiego domu, obmyto, uciszono kromką chleba z masłem i odprowadzono do domu. Bojąc się plag od ojca, nie śmiałem sam wracać. Ojciec przestraszony wieścią o zabiciu syna, nie był jednak surowy, lecz uradowany życiem mojem. Chłopu, którego z początku chciał oddać do Sądu, przebaczył.

Rana w głowie wprawdzie się zagoiła wkrótce, ale odtąd straciłem wyborną pamięć i cierpiałem na wzroku.

Takie to były nauki, tacy nauczyciele, taka karność i pastwienie się nad dziatwą.

Książki były dla chłopczyków niezrozumiałe. Tak nazw. „zweiter Theil“, „schriftliche Aufsätze“ — „wielki katechizm“ — „rachunki“ i t. p., były nie na wiek i na pojęcie dziatwy. Korzyść z nich żadna; procz kilku wyrazów niemieckich, czytania płynnego i pisania, nic zresztą nie korzystano.

Młodzież do gimnazyum wstępująca nie była dobrze przygotowaną; dlatego się musiała poddawać przy wstępie do szkół łacińskich nowym egzaminom, w których wielu odpadało, pomimo, że mieli świadectwa z dobrym postępem.

Niemiecki język wpajano i po za szkołą przez tak zwane „Sprachzeichen“ (znak mówienia). Była to drewniana książeczka, którą dawano lub podrzucano tym, którzy mówili po polsku w domu lub na ulicy. Tym sposobem wpajano w dziatwę zasadę szpiegowania, podsłuchiwania pod parkanem, nawet pode drzwiami lub oknem, aby chłopczyka uchwycić na polskiej mowie i podrzucić mu to złowrogie drzewo, za które potem chłostano dwojakiemi chłostami tego, u którego ono przenocowało. Tak wbijano prętami język. Nawet książeczki do modlenia polskie odbierał ksiądz katecheta, a niemieckie używać rozkazywał.

Podczas Mszy św. śpiewano po niemiecku, a młodzież nawet nie przeczuwała, że tak być nie powinno.

Szkoły łacińskie.

(gimnazyum).

Gorszą mordownią dla polskiego ducha były szkoły łacińskie. Tu już ani słówka polskiego nawet od rzadkiego profesora Polaka nie usłyszałeś. Wszystko zapełniał język niemiecki, i wszędzie też odbijała się kaleczona okropnie niemczyzna.

Z jaką to miną junacką i pychą w sercu wstępowało się do gimnazyum. Było nas około 150 uczniów. Wielka sala nie mogła nas pomieścić. Pro-

czeniu“, jakie przyjazd jego wywołuje i ostrzegł o przykrych następstwach, jakie go spotkać mogą, gdyby na egzaminie chciał być obecny.

P. Gniewosz pokazał zaproszenie kuratoryi, wystosowane do redakcyi i oświadczył równocześnie, że nawet bez tego zaproszenia uważa się za uprawnionego być obecnym w zakładzie publicznym krajowym, na publicznym egzaminie, bez względu, czy to się podoba pp. funkcyonaryuszom, lub nie. Co się zaś tyczy ostrzeżenia o smutnych następstwach, od tych go ochroni różdżka czarodziejska, którą trzymając w ręku, okazał p. Łazowskiemu, (znana we Lwowie pod nomenklaturą Monczałówki). Wiara w ten talizman nie zawiodła go też, bo udawszy się na egzamin, a potem na przegląd warsztatów i wrzekomej wystawy, spokój jego nie został niczem zakłócony. Przeciwnie, odkrył przyczynę, dla czego p. Juliusz Starkel, dyrektor zakładu, wraz ze swoim sztabem byli tak bardzo przeciwni obecności Gniewosza. Nie chodziło im albowiem o to, co przedtem *Strażnica polska* pisała o zakładzie i funkcyonaryuszach, ale czego mogła być świadkiem przy obecnym egzaminie.

Najlepiej to jednakowoż sprawdzą z natury zdjęte obrazki, jakie się podczas egzaminu dostrzedz dawały. I tak:

Uproszony przez kuratora jeden z obecnych starszych kapłanów, który przybyli na egzamin, aby raczył dawać pytania z religii uczniom i uczennicom 4 klasy, (a więc najwyższej w tym zakładzie) zapytał jedną z uczennic:

„Powiedz mi moje dziecko, co jest „Chrzest?“

Zapytana milczy; tak samo druga, trzecia i czwarta ku ogólnemu zdumieniu obecnych. Nareszcie jedna tylko się zdobywa na zadowalniającą odpowiedź, wyrecetowawszy jak wyuczona papużka. (Nauczycielem religii był ks. Banach).

Dalej: Nauczyciel p. Moskwa daje zadania uczniom tejże 4. klasy, z rachunków pamięciowych.

Po wygłoszeniu zadania rozpoczyna się w głowinach ruch arytmetyczno-pamięciowy. Goście czekają dosyć długo na rozwiązanie zadania, ale bez skutku. Ani jeden uczeń z całej klasy nie zgłasza rozwiązania.

Są tacy, którzy twierdzą, że zadanie za trudne.

Pan nauczyciel daje drugie zadanie — wynik z takim samym skutkiem jak pierwszego. Nareszcie zadanie trzecie rozwiązane zostało przy silnej pomocy litościwych dusz.

Z mało co lepszym skutkiem wywiązali się uczniowie z zadań arytmetycznych przy tablicy, które głównie rozwiązywał jeden z reporterów, siedzący tuż przy samej tablicy.

Że sensacya pomiędzy gośćmi była wielka, o tem nie potrzebujemy mówić.

Zaczęto egzaminować z historyi i nauczycielka tejże zadała pytanie uczennicy 13 czy 14-letniej, czwartej klasy normalnej, wychowance zakładu, której przyszłość jest według programu, aby była dobrą służącą lub robotnicą, następującej treści:

„*Powiedz mi moja kochana, jakie były stronnictwa polityczne w Polsce po śmierci króla Jana Sobieskiego, i jakie stąd wynikły następstwa dla Polski?*

Trudno opisać wrażenia, jakie było widoczne na fizyognomiach obecnych gości na egzaminie, którzy nie mieli nawet wyobrażenia o tem, jakich wiadomości dziejowych potrzebują sieroty przytulone do zakładu w Drohowyżu, aby się tam wykształciły na pokojówki, kucharki, szwaczki lub inne robotnice.

Tu jednak nauczycielka odniosła niezaprzeczony tryumf, bo pytanie to rozłożone na kilka uczennic, rozwiązane zostało w dobrze wyuczonych na pamięć odpowiedziach.

Przy egzaminie z geografii, jakkolwiek usłyszeliśmy nader homeopatyczne pytania co do krajoznawstwa, rozradowały nas niezmiernie odpowiedzi, z szerszego pola wiadomości geograficznych, n. p. wiadomość dziewczątek o wiadukcie kolejowym, zbudowanym przez Semering itp. inne zdobycze, niezbędne do rozświecania umysłów wychowanic Drohowyża.

Podczas egzaminu udzielano gościom do przejrzenia zeszyty kaligrafii i rysunków. Otóż te ostatnie z oddziału dziewcząt 4. klasy zwracały szczególną uwagę znawców. W każdym zeszycie mieściło się po kilka lub kilkanaście skopiowanych wzorków, i dziwna rzecz: nauczyciel czy nauczycielka na tym oddziale dziewcząt umieli nadać rękom uczniów taką jednolitość w technicznem zastosowaniu ołówka, iż można było śmiało przysiądz, bez szkody dla sumienia, jakoby te wszystkie zeszyty zapełniła jedna ręka. A zeszyty te były tak świeżutkie wszystkie, tak czyste, bez śladu gumy elastycznej, iż słusznie przypuszczać można, że tylko duch a nie ręka na nich rysowała. Wszystkie te zeszyty były jednem słowem na egzamin przygotowane.

Wrażenie, wyniesione z nauk, zatarła dopiero gimnastyka, która rzeczywiście wypadła świetnie.

Drugą część egzaminu stanowił przegląd warsztatów rękodzielniczych i wrzekomej „wystawy“.

Otóż na tej wystawie o ile się mieściła w dwóch pokojach, z trudnością można było odszukać przedmiotów, jakie uczniowie wykonali w ostatnim roku. Główną dekoracyą tej wystawy i siłę stanowiły różne modele do machin i narzędzi rolniczych, sprowadzane lub wykonywane w Drohowyżu przez czeladników płatnych, przy których się kształcą uczniowie. Były tam wprawdzie skoble, haki żelazne, wrzeciądze itp. znane najtańsze i odwieczne kowalskie wyroby, jakie kowal wiejski sporządza dla włościanów, do chat, chlewów itp. Były i zamki ślusarskiej roboty do drzwi w domach mieszkalnych, dosyć prymitywnej konstrukcyi. Zwróciły na siebie dla tego naszą uwagę, że na pojedynczych sztukach nie było jak to zwykle bywa przyjętem, tabliczek z nazwiskami, którzy uczniowie wykonali te roboty. Zapytawszy z nienacka jednego z starszych uczniów, który pilnował tego działu, przez kogo wykonane są te zamki, odpowiedział dobroduszenie:

„Te zamki robili pp. czeladnicy“.

Po nad tymi zamkami figurowały trzy tablice wcale udatnej roboty lakierniczej. Zapytaliśmy się obecnego p. nauczyciela rysunków, dlaczego tak mało przedmiotów wystawiono z działu lakierniczego; ten nas objaśnił, że dział tego nie ma w zakładzie, nie jest nauczany, a kilka okazów wystawionych, są pracą tylko jednego ucznia, którego on (t. j. objaśniający nas p. nauczyciel) uczy z własnej woli w pozaobowiązkowych godzinach.

W sali tej było mnóstwo nagromadzonych rysunków, lecz w ułożeniu tychże i przedstawieniu, brak było wszelkiego systemu ułatwiającego przegląd, oraz ocenę praktyczności i korzyści nauki dla uczniów pojedynczych rękodzieł. Z niejednego rysunku biła w oczy prawdziwa zdolność, a nawet mimowolne zapewne artystyczne poczucie; ale wszystko razem tworzyło tem większy chaos, że nie przedstawiono tam rysunków osobno z roku bieżącego, lecz zmięszano je z pracami wszystkich lat, jak długo zakład istnieje.

W zakładach takich, a mianowicie drohowyskim nader ważna nauka rysunków powinna być podzieloną na szczególne działy, zastosowane ściśle do rodzaju rękodzieł, w jakich się uczniowie kształcą. I tak: Stolarzowi, stelmachowi lub ślusarzowi niepotrzebne są krajobrazy, zwierzęta lub kwiaty, ale wzory fachowe z tego rzemiosła, którego się uczy.

W dziale nauki rysunków, zdaniem naszem, nie można składać winy na samego nauczyciela, bo ten może być bardzo uzdolniony, ale zaliczając się do areopagu artystów, powoduje się często przy najwiękjszej pilności własną fantazyą, z pominiąniem głębszego zastanowienia, że w zakładzie nauk rękodzielniczych nie wolno przekraczać nauki według własnego widzimisię, lecz ściśle pilnować potrzeba pojedyńczych działów. Nad takim kierunkiem winna czuwać dyrekcya zakładu. W Drohowyżu jednakowoż nie dopatrzysz tego kierownictwa, chociażbyś go szukał za pomocą teleskopu. Wszystko to obliczone na efekt, na pierwsze wrażenie, oświecane mniejszą lub większą dozą ognia bengalskiego. Na próżnoby ktoś chciał tu szukać jakiejkolwiek sumienności, czy to w nauce lub w ogólnem wychowaniu sierót. Ani kuratorya, ani dyrekcya, nie troszczyły się o to, uważając, że fundacya nie dla dobra kraju, ale dla nich stworzona.

Mamy jednak niepłonną nadzieję — że dzisiejszy kurator, jeżeli będzie miał zupełnie wolę i ręce rozwiązane, wprowadzi fundacyę na inne, odpowiedniejsze tory.

W przeglądzie warsztatów, znaleźliśmy się w ciasnej izdebce, obejmującej najwięcej 3—4 sążni kwadratowych przestrzeni, w której umieszczono dwie tokarnie do drzewa. Przy każdej stał uczeń, który toczył, a drugi, który nogą tokarnię w ruchu utrzymywał. (Zaiste ciekawy sposób toczenia). Jeden toczył piastę do koła, a drugi balustrę do poręczy schodowej. Jeden i drugi wyrób — z rodzaju najprostszych, prymitywnych. Dosyć było rzucić okiem, aby się przekonać o nędzy tego działu w zakładzie drohowyzkim.

Dalej kilka kiepskich wiadrówek, miały obowiązek przedstawienia działu budownictwa.

W działach, stolarstwa i stelmachstwa, trudno było również ocenić uzdolnienie i naukę wychowańców, gdy panowie czeladnicy płatni (Vorarbeitersy) sami się chwalili, że to ich roboty.

Na oddziale blacharstwa, ujrzeliśmy pracującego samego p. majstra, który ma uczyć blacharstwa. Zapytany ilu ma uczniów? odpowiedział: żadnego. Oddział ten, jeden z ważniejszych dla kraju, postanowiła dyrekcya zwinąć.

Tak samo w dziale tkactwa, umieszczonym w ciaśniejszej jeszcze dziurze, jak tokarstwo, stał warsztat tkacki, a za nim siedział miejscowy wieśniak — który tkał zwykłe płótno, jakie nasze wiejskie kobiety produkują po chatach. Ten tkacz jednakowoż był na tyle sumienny, iż się nawet nie przyznawał, że jest nauczycielem tkactwa i czy ma jakich uczniów.

Najwięcej hałasu i tartasu było w kuźniach i ślusarniach. Wschodzimy do kuźni i widzimy jak majster i dwóch uczniów obrabiają młotami grubą sztabę żelaza. Po dłuższem patrzeniu, zapytawszy, jakie

---

fesor nasz, staruszek 68. letni, Sikulski, Rusin tajemny, kochał nas jak ojciec, chociaż z dyscypliną chodził do szkoły. Nauka jego wprawdzie była niedołężna, mowa jego przeplatana, niezrozumiała, ale był dziwnej łagodności. Dlatego przerywając jego prelekcyę, prosiliśmy go o jaką bajkę, którą nam opowiadał; a gdy skończył, wypuszczał do domu, nakazując ciche stąpanie, którego to nakazu nie dotrzymano, co też nieraz srogiego prefekta wywabiało z kancelaryi, który nas do klasy nawracał i beształ staruszka, że za wcześnie dzieci wypuszcza.

Inną razą byliśmy ostrożniejsi i zaglądali przez dziurkę we drwiach, czy jest prefekt.

Sikulski uczył nas geografii na suficie dla braku globusa, na którym były pasy sklepione. Gdyby ktoś był chłopcu nawet oczy wyłupił, żaden nie miał wyobrażenia o kulistości ziemi, lub stref na globusie. Niezrozumiałe wyrazy niemieckie musiano sobie wbijać do pamięci i recytować jak wiersze. Uczyć geografii bez globusa to już prawie kazanie chińskie. Sikulski nie zadawał sobie też byjnajmniej pracy, ale kazał jednemu z cenzorów czytać i ile kartek tenże przeczytał, mieliśmy to zadane. Nikt się naturalnie z nas tego nie nauczył. Byli zaś cenzorowie najtężsi chłopi z pomiędzy nas wybrani, ci siedzieli obok profesora, notowali swawolnych kolegów i podawali do wiadomości staruszka, który tańcząc obertasa z chłopcyzkiem, trzepał go po surducie dyscypliną, co wywoływało znowu śmiech i wrzawę. Staruszek rozgniewany wyskakiwał na ławki i bił, a chłopcy chowali głowy pod ławki.

Cenzorowie zapisywali „klasę“ ze zdawanej lekcyi; pisywali złe noty, które Sikulski na setki liczył, szczególniej za to, jeżeli kto jeden na drugiego skarżył, lub nie chciał pozwolić odpisać „pensum“ (zadanie).

Pamiętam raz, gdy dano znać profesorowi, że jacyś koledzy wleźli do ogrodu OO. Bernardynów, a schwytani na uczynku siedzą zamknięci w chlewie, pospieszył staruszek z cenzorami z dyscypliną w ręku do owego ogrodu, a tam wlazłszy do chlewa niskiego, nie mogąc wywijać dyscypliną, powypychał chłopaków i tak ich gnał do szkoły, trzepiąc dyscypliną z tyłu, wśród wielkiego śmiechu publiczności. Ze szkoły do ogrodu było z tysiąc kroków. Na miejscu wywijał z nimi nowe obertasy. Zziajał się i zmęczył, a myśmy się wszyscy śmiali z tej komedyi.

Na takie wrzaski wpadał nieraz prefekt surowy, który beształ nas i profesora. Naturalnie, że taka nauka starca, który zupełnie nie był zdolny do nauczania, tylko chciał się doczekać czterdziestu lat zawodu nauczycielskiego, aby mógł całą pensyę, t. j. 500 fl. monetą konwencyjną otrzymać, bo już służył 37 lat, nie wiele przynosiła pożytku.

Usunięto go biedaka z połową pensyi od pół kursu, gdy się po publicznym egzaminie pokazało, żeśmy bardzo mało skorzystali, a tylko ci coś umieli, co mieli t. zw. „dyrektorów domowych“. Sikulski spensyonowany odjechał do Lwowa i tam tragiczny miał koniec, a to z tego powodu:

Mieszkając we Lwowie, chodził z nudów do Akademii na wykłady; najprzód na prawa, a potem na teologię. Skończywszy cztery lata teologii i zdawszy egzamin, będąc bezżenny, pragnął być wyświęcony. Metropolita odmówił mu jednakowoż konsekracyi. Zmartwiony tem staruszek, życie sobie odebrał, udusiwszy się czarną chustką.

Na drugi kurs, bo rok dzielił się na dwa egzamina publiczne, dostaliśmy nowego nauczyciela, Niemca, prusaka. Młody ten profesor ostry i surowy, zaczął z nami z samego początku powtarzać łacinę od deklinacyi, a przechodząc w przeciągu krótkim czasie to, czegośmy się sześć miesięcy uczyli, zadał nam ogólne pensum, i według tego wysortował sobie przyszłych uczniów, zapowiadając, że inni nie będą przyjęci do wyższej klasy. Wskutek tego proroctwa opuściła połowa uczniów szkoły, a nas tylko 84 weszło do drugiej łacińskiej klasy, gdyż to zupełnie od profesora zależało.

Nowy nauczyciel największą wagę kładł na łacinę i na matematykę, a wyroby czyli pensa zadawał trudne i przestrzegał, aby jeden od drugiego nie odpisywał, sadzając nas w jednej ławce tylko po dwóch na krańcach, a w drugiej jednego we środku. Tak dwa razy na tydzień odbierał wszelkie książki i skrypta. Ten musiał być dobre podkuty, kto się dobrze wywiązał i otrzymał pierwszą klasę. Niemiec ten był surowy; nigdy się nie uśmiechnął, nie pożartował, chociaż w kompanii był wesoły i figle płatał, i tak np. raz o zakład w berłytku żydowskim obiegał rynek w Samborze. Brunet, średniego wzrostu, z kędzierzawą głową,

przeznaczenie tej sztaby — odbieramy odpowiedź, że „żadne“ — J a k t o ż a d n e ?“ — „Bo to tylko tak sobie, aby pokazać, jak się żelazo kuje.“

Odpowiedź ta, niepotrzebuje komentarza, aby uwydatnić lepiej blagę warsztatową w Drohowyżu.

Tak samo produkowali się uczniowie, z pilnikami w ręku, przy tokarniach etc. etc.

Na dziedzińcu, była wystawa gotowych narzędzi gospodarczych, wozów, wózków, pojazdów. Te nas jednak bynajmniej niezaciekawiały, ani pod względem wykonania, ani też co do cen nizkich, poznawszy wypadkowo samokoszta tych wyrobów, jak np.:

Rachunek warstatowy wykazuje, że do jednego powozu spotrzebowano za **140 złr.** samego żelaza, które przedstawia masę około **20 cetnarów.**

(We Lwowie kosztuje kompletne okucie z materjałem i robotą — z osiami toczonemi, do oliwy, 150 złr.)

Niedziwimy się więc, że powóz zgodzony przez nabywcę za 500 złr., i za tę cenę oddany, kosztuje zakład 900 do 1100 złr.

P a n i e d y r e k t o r z e J u l i u s z u S t a r k l u i p a n i e Ł a z o w s k i, r z ą d z c o w a r s t a t ó w — r a c z c i e t e m u z a p r z e c z y ć!

A na taką modłę, produkują się prawie wszystkie wyroby, bo nawet para kamaszków, które oddział szewski wyrabia, sprzedaje się za 6 złr., a te kosztowały zakład **6 złr. 80 ct.**

Szewstwo i krawiectwo k o n k u r e n c y j n e, w zakładzie drohowyzkim, to szczyt idiotyzmu i wyzyskiwania, na u p a d e k fundacyi.

Nieszafując frazesami, przytoczony jeszcze jeden przykład z działu krawiectwa.

Oto spółka krawców lwowskich, która otworzyła skład konfekcyi gotowych ubiorów, aby powstrzymać najazd obcy, weszła w stosunki z zakładem w Drohowyżu, oddając materyał do wyrobu po cenach, jakie płaci robotnikom krawieckim we Lwowie. I cóż się stało? W warsztacie krawieckim w Drohowyżu, nie dosyć, że partaczono najzwyklejsze ubrania, ale zarząd oświadczył, że po tych cenach, jakie się płacą w e L w o w i e, nie może dostarczać robót. Nam się jednakowoż zdaje, że możnaby znaleść inną przyczynę, a mianowicie tę, iż dawane do wyrobu materyały j u ż p r z y k r o j o n e, nieprzedstawiały takich korzyści, jak wyroby „z e s z t u k i“ — dla różnych funkcyonaryuszów fundacyi, kuzynków i przyjaciół politycznych, którzy są odbiorcami — „n a k r e d y t“ i już obciążyli kasę Zakładu na k i l k a t y s i ę c y zł. Ile zaś tych należytości wpłynie do kasy Zakładu, a ile przepadnie, to czas pokaże.

Byłoby bardzo pożądanem przejrzenie faktur, po ile Zakład w Drohowyżu zakupuje różne materyały, a po ile takowe zakupują rękodzielnicy we Lwowie? — Natomiast możemy już dziś śmiało twierdzić, że jeszcze kilka lat takiej nieumiennej gospodarki, a Zakład drohowyzki, chylić się musi stanowczo do bankructwa. Liczba wychowańców musi być zmniejszoną.

Nowy kurator nie może oszczędzać środków desinfekcyjnych, aby tę gospodarkę oczyścić od zarazy, która tam weszła w kości i szpik Zakładu.

Z oddziału chłopców przeszliśmy do dziewcząt, będących pod kierownictwem S i ó s t r F e l i c y a n e k.

Siostry obejmując zarząd tego oddziału w nader krytycznej chwili rozkładu demoralizacyi, przyjęły na siebie zanadto trudny obowiązek.

Gangrena, jaka tam nurtowała, mogła być tylko usuniętą przez zupełne natychmiastowe odłączenie pewnej chociaż ilości dziewcząt, któreby nie miały żadnej styczności z nowo przyjmowanemi. Na ten krok nie zdobyła się ani kuratorya, ani dyrekcya, nie czyniła nacisku — a b y n i e r o b i ć s k a n d a l u.

Siostry Felicyanki wzięły się całą duszą do pracy i w tej nieustają dniem i nocą. Zabrały się do tejże z poświęceniem i pracują z zapałem, na jaki się tylko takie dziewice zdobyć mogą.

Pomimo to, jest to praca Syzyfa.

Gangrena, zaszczepiona silnie, nieprzestaje nurtować, drwiąc sobie z wszelkiego czuwania i zapobiegliwości Sióstr.

Byłoby wielce do życzenia, aby nowy kurator zebrał koniecznie daty statystyczne, co się stało z wychowankami Drohowyża, które w ostatnich sześciu latach opuściły Zakład w Drohowyżu. Jest to praca mozolna, ale dająca się jednakowoż zestawić. Natomiast nieodzowna, bo stanowiłaby dokument dla kuratora, że nawet najradykalniejsze środki, za jakie powinien chwycić, są i będą usprawiedliwione.

Daty te statystyczne, odkryją straszny ale prawdziwy obraz skutków wychowania sierót w Drohowyżu.

Wystawa, jaką urządziły Siostry Felicyanki, z robót swych wychowanek, świadczyła świetnie o ich sumienności spełniania na siebie przyjętych obowiązków, a zarazem o ich własnem inteligentnem wychowaniu, obeznanem z wszelką pracą, przystępną kobiecie.

Na wystawie tej, każda robótka była opatrzona nazwiskiem uczennicy; — tu niebyło blagi, jaka świeciła na oddziale chłopców.

Zacząwszy od najprostszych robót, wykonanych za pomocą igły, aż do najwytworniejszych koronek, haftów, szlarek, ubiorów, robót pończoszkowych, heklowanych, kwiatów itd. itd. — nie brakowało niczego, czego się tylko kobieta nauczyć może. Dział ten nie pozostawiał — jak się zwykło mówić — nic do życzenia. Pomimo to, całość nauki w Zakładzie drohowyzkim na oddziale dziewcząt nie może zadowolnić. Dział ten uważać należy jako pierwszy—wstępny, przy którym stać powinien drugi, f a c h o w y, bez którego cel fundacyi nie odniesie nigdy skutków, jakich po zakładzie takim obywatele kraju mają prawo wymagać. Nauka ograniczająca się na dziale pierwszym, jest wszystkiem i niczem.

Dział ten pierwszy obejmuje wprawdzie to wszystko, czego się każda kobieta bez wyjątku uczyć powinna, a raczej być obeznaną z potrzebami codziennego żywota. Gdybyśmy jednak wychowanie kobiety dzisiejszej, mianowicie sieroty bez mienia, chcieli ograniczyć na tego rodzaju umiejętnościach zarobkowania, to pomnożymy tylko nieszczęsny proletaryat nędzy, która ostatecznie prowadzi do demoralizacyi kobiety. Dzisiejsze wymogi pracy kobiecej są zupełnie inne i przedewszystkiem muszą być podzielone na działy fachowe, na grupy pracownic, któreby się mogły szeregować. łączyć w jednym kierunku, umożebniającym zasilenie pracą rąk naszego handlu i przemysłu. Tego rodzaju wyrobów, za które wychodzą z kraju corocznie miliony, a wykonywane za granicami naszego kraju przez szeregowane kobiety-robotnice, u nas nie ma.

Że takiego kierunku ani myśli nie ma dotychczas w Drohowyżu na oddziale kobiecym, nie kładziemy to na karb Sióstr Felicyanek, jeżeli kuratorya i dyrekcya zakładu wskaże im i da środki na to, czego żąda.

Te spostrzeżenia, któreśmy poczynili na egzaminie w Drohowyżu, spowodowały nas do napisania osobnej książki: „o P r z e s z ł o ś c i, T e r a ź n i e j s z o ś c i i P r z y s z ł o ś c i F u n d a c y i S k a r b k o w s k i e j,“ która wkrótce opuści prasę.

Co do oddziału dziewcząt, dodać musimy jeszcze spostrzeżenie, iż te pomimo, że nad niemi czuwają z a k o n n i c e Siostry Felicyanki, i nie mają takiej swobody jak chłopcy, nie przedstawiały takiego przykrego, przygnębionego usposobienia, jak ci pierwsi. Czystość w ubiorze, utrzymaniu ciała, nie były obliczone widocznie tylko na dzień egzaminu, lecz są one na tym oddziale regułą, która ściśle jest przestrzeganą.

Natomiast chłopcy, prawie przeważnie świecili zniechęceniem i trudno było w nich dopatrzeć tej swobody młodzieńczej, o jakiej pp. reporterzy dzienników lwowskich donosili. Przyczynia się zapewne do tego złe i niesumienne odżywianie, niewystarczające na rozwój siły. My się temu nie dziwimy, bo gdy dziś po domach dla obłąkanych, jak w Kulparkowie i w Brygidkach lwowskich, prowadzi się wyżywienie pod własnym zarządem tych zakładów, z jak najlepszym skutkiem, z wielką oszczędnością, a na pożytek powierzonych pieczy, w zakładzie drohowyzkim, jak był tak jest liwerantem jeneralnym p. S c h o r, brat Polak mojżeszowego wyznania z Mikołajowa. Wprawdzie dla decorum oddano niby dostawy p. Wołodkiewiczowi, z Brzozdowiec, lecz ten użył tyle smaku i przyjemności ze strony zarządu w Drohowyżu, że zmuszony był oddać dostawę artykułów spożywczych znowu panu Schorr, który jeden tylko potrafi żyć w dobrej harmoni z p. magazynierem Hoszowskim.

Oto te spostrzeżenia, których część spisaliśmy w krótkości, były przyczyną opozycyi p. Starkla i jego sztabu, aby redaktor *Wiadomości rękodzielniczych i przemysłowych* J. N. z O. Gniewosz nie był obecnym na egzaminie publicznym w Drohowyżu.

Smutno wspomnieć, jak pp. reporterzy pewnych dzienników lwowskich połączyli się duchem z p. Starklem i ks. Banachem i uderzyli: „n a p e w n e z n a n e i n d y w i d u u m, k t ó r e o ś m i e l i ł o s i ę p r z y b y ć n a e g z a m i n p u b l i c z n y d o D r o h o w y ż a“.

Zapytujemy jednakowoż tych panów, pomijając to „i n d y w i d u u m“, czy się godziło w sprawozdaniach tumanić po prostu ogół obywateli kraju, podając najfałszywsze sprawozdania o wyniku egzaminu i wystawy zakładu, który powinien być chlubą kraju, jako jedyny w swoim rodzaju w Europie. Czy to nie jest podawanie ręki wszelkiej niesumienności i nieuczciwości, jaka się niestety w tak straszny sposób u nas w Galicyi rozwielmożnia?

Czy to nie jest krępowanie rąk nowemu kuratorowi, aby tenże nabył przekonania, że w obec tak silnie zorganizowanej kliki wyzyskiwaczy wszelkiego rodzaju, jego najszczersze usiłowania muszą się rozbić, jak o skałę tarpejską.

Przekonani jednakowoż jesteśmy, że nowy kurator, hr. Henryk Skarbek, jest i będzie świadom, co jest winien imieniu swego znakomitego przodka, i jakie obowiązki przyjął na siebie. Wątpimy, aby się miał ulęknąć przed znaną powszechnie kliką. Niech działa jak mu sumienie nakazuje i będzie pewien, że

---

niemiły a nadmiarę brudny; bo za pieniądz czyli korepetycyę, na którą wszyscy bogatsi chodzić musieli, dawał klasy dobre; a gdy się później z Polką ożenił, trzymał nawet studentów na wikcie. Kto był u niego na stancyi, ten złej klasy nie dostał, bo mu powiedział, z czego go pytać będzie.

W tym roku 1826 pamiętam wielkie procesye do różnych kościołów, bo to był wielki jubileusz, ogłoszony przez Leona XII.

Z wielką radością rodziców rozpocząłem nowy kurs po wakacyach do drugiej łacińskiej klasy; uczyłem się dobrze bez dyrektora. Ojciec krótko trzymał, a więc się nie lampartowałem; siedziałem w domu i malowałem farbami. A jednak, gdy przyszło do półrocznego egzaminu, zostałem usunięty od honorowego udziału, który się rozpoczynał przed południem. Nie wiedząc co się stało, przystąpiłem do profesora i pytam się, czy się nie pomylił, że mię nie czytał na pierwszy egzamin. Dowiaduję się od niego, że mam klasy dobre, tylko drugą z obyczajów. Jakby piorunem rażony, osłupiałem, a potem wybuchnąłem w płacz, a za mną niektórzy koledzy, i tak szlochając, szedłem pełen sromu do domu, opowiadając ojcu, że mi profesor dał „drugą“ z obyczajów. Oburzony ojciec, który widział moje zachowanie się, moje domatorstwo, bo mię sam nieraz napędzał, abym się z drugimi bawił, a tu coś okropnego musiałem zbroić, kiedy mię nauczyciel ukarał drugą klasą i to z obyczajów. Pospieszył ojciec do księdza katechety, bo od niego zależała klasa z obyczajów, a który znając moje postępowanie, nie umiał się oprzeć profesorowi i na taką klasyfikacyę biednego studenta zezwolił. Poszedł ojciec ze mną i do profesora i tu się dopiero dowiedział, że za to mi wrzepił drugą klasę z obyczajów, bom nosił krzesła do teatru. Otóż zbrodnią było odwiedzić teatr, a jeszcze większą odnosić krzesła takiemu pauprowi jak ja.

Wskutek tej klasy musiałem opłacać poczesne, a że pieniędzy nie było, cały tydzień przesiedziałem w domu, aż zapłaciwszy, mogłem uczęszczać dalej do szkół.

Wkrótce poprawił mi nauczyciel tę klasę z obyczajów, za wstawieniem się księdza katechety i owe 4 fl. oddano mi, za które mimo gniewu ojca buty sobie kupiłem.

W drugiem półroczu miałem eminencyę z obyczajów, z religii i z rachunków. Wstępując do trzeciej klasy, postanowiłem uczyć się jeszcze lepiej i przysiąść fałdów, mianowicie, gdy profesor Niemiec zagroził, że z tych 65, którzy rozpoczynamy kurs, i połowa dalej nie postąpi. Półroczny egzamin zdałem dobrze, mając, wyjąwszy łacinę, prawie wszystkie eminencye. Pierzchła wielka część kolegów do domu, a my w liczbie 36, większa część biednych, weszli do czwartej klasy.

W tym roku umarł nam prefekt Piasieczyński, surowy i nielubiany przez młodzież. Cieszyliśmy się że ustąpił. Niektórzy lamparci odkopali krzyż jego i zanieśli na plac, gdzie tracono winowajców. Tajemnica dotąd nieodkryta.

Szczególny wypadek wydarzył się w tym roku w kościółku. My studenci chadzaliśmy na wiosnę, przez lato i jesień, razem Polacy i Rusini, bo wtedy nikt nie wiedział, kto jest Polakiem, a kto Rusinem, tylko że byliśmy katolikami, to razem uczęszczaliśmy do kościoła pojezuickiego, w którym przedtem był magazyn, a teraz odnowiony i urządzony służył dla szkół i dla wojska na nabożeństwo, a w klasztorze był cyrkuł. Otóż pewnej niedzieli przyszedł do kościoła jakiś waryat, i modląc się: zawołał „Kościół się wali!“ W okamgnieniu zaczęli wszyscy uciekać i w tym natłoku pokaleczyli się studenci, porozdzierali suknie, podeptano chłopców i kościół stanął pustką. Wzięto waryata do aresztu, a z naszej płochości śmiał się ks. katecheta i inni roztropniejsi.

W tym roku był na wiosnę wielki wylew we dy; wielkie obszary pozalewał Dniestr.

Rozpoczął się kurs nowy. Syntaxyści, tak się nasza klasa nazywała przebrana przez Niemca, uchodziła za najzdatniejszą klasę. Łacina trudna, greka, historya, nie idzie do głowy.

Trzeba się uczyć mozolnie, trzeba mieć słownik Wagnera, a tu nie ma za co. Chociaż map geograficznych i innych książek nie miałem, tom sobie pożyczał na godzinkę u kolegów, ale bez słownika, to jak bez ręki. Płaczę i suszę ojcu głowę. Ten gdzieś u aptekarza pożyczył dwa wielkie słowniki Drumela. Nadaremnie dźwigam i stękam z tymi słownikami, przychodząc do szkoły. Śmieją się koledzy, że słowniki większe odemnie, i żadnej korzyści mi nie przynoszą; a gdy razu pewnego pośliznąłem się i wpadłem z tymi słownikami do kałuży, odebrał ojciec, skarcił mię i odniósł, a ja

obok niego stanie bardzo liczne grono najpoważniejszych obywateli kraju, aby poprzeć jego usiłowania. Na tej drodze szczęść mu Boże!

Z Izby sądowej.

Sala rozpraw Sądu obwodowego w Kołomyji, aczkolwiek całość budynku jest dopiero na dokończeniu, inaugurowaną już została rozprawą karną na dniu 23. bm.; a stało się to zapewne dla tego, że spodziewano się nadzwyczajnego natłoku ciekawej publiczności, do którego to mniemania nastręczały wybitne osobistości, powołane do zajęcia ławy oskarżonych o zbrodnię z §. 207 uk.

Jak się jednakowoż następnie pokazało, to aczkolwiek społeczeństwo kołomyjskie i okolicy nie jest wolne od ciekawości, jednak trzeba mu [illegible]yznać nadzwyczaj rozwinięty zmysł delikatne[illegible] poczucia w pewnych sprawach, towarzyskiego [illegible]ejścia.

Obywatele mojżeszowego wyznania prze[illegible]dzeni byli świętami i dlatego jedynie zali[illegible]i się zapewne do nieciekawych. Wszelkiego [illegible] stopnia inteligencya kołomyjska, n i e c h c ą c [illegible]nować" o s k a r ż o n y c h, postanowiła również omijać salę rozpraw. Publiczność obecna w [illegible] składała się głównie z młodych prawników, [illegible]b akademików, bawiących na wakacyach, która [illegible]azem z innymi śmiertelnikami, wynosiła co najwyżej do 40 osób.

Aczkolwiek sprawa obiecywała być sensacyjną, dziennikarstwo lwowskie nie raczyło wysłać ani jednego reportera. My z naszej strony nie mogliśmy się powstrzymać od jazdy do Kołomyi, gdzie na ławie oskarzonych zasiadać miał p. A n t o n i R u s i n, naczelnik Sądu powiatowego w Peczeniżynie. Czytelnicy dawniejsi *Strażnicy pol.* raczą sobie przypomnieć, że p. A. Rusin jestto jeden z naszych starych klientów. Rzecz się tak miała:

Circum circa przed pięciu laty odebraliśmy bardzo ciekawą korespondencyę z Peczeniżyna o czynnościach p. Rusina jako naczelnika Sądu. Korespondencyę tę ogłosiliśmy w *Strażnicy pol.*, lecz Nr. odnośny skonfiskowany został przez c. k. Prokuratoryę Państwa we Lwowie. Jeden Nr. posłaliśmy pocztą Ekscellencyi p. Schenkowi, prezydentowi Wyższego Sądu, który bezwłocznie delegował na śledztwo jednego z Radców Sądu obwodowego z Kołomyji, czy też z Sambora. Delegowany Radca nie znalazł jednakowoż nic nieprawidłowego w manipulacyach Sądu peczeniżyńskiego.

To spowodowało p. A. R u s i n a do wytoczenia nam skargi w Sądzie karnym lwowskim o o s z c z e r s t w o. Zawezwany redaktor *Strażnicy pol.* do śledztwa, przedłożył całą paczkę dokumentów pisanych — autentyków, które widocznie wystarczały, że śledztwo karne skończyło się na tym jedynym protokole.

W[illegible]lka miesięcy później otrzymał redaktor [illegible] zawiadomienie od karnego Sądu kraj. we Lwowie: ż e z p o w o d u, i ż p. n a c z e l n i k S ą d u w P e c z e n i ż y n i e, A n t o n i R u s i n, z a n i e c h a ł p o p i e r a ć d a l e j s k a r g i, p r z e c i w J. N. G n i e w o s z o w i o w r z e k o m e o s z c z e r s t w o, ś l e d z t w o z o s t a ł o u m o r z o n e.

Redakcya ogłosiła ten wynik oskarzenia; nie to jednak nie przeszkadzało, że p. Rusin pełnił dalej obowiązki naczelnika Sądu w Peczeniżynie, aż do chwili, gdy przeciw niemu wniesione zostało oskarżenie do c. k. Prokuratoryi Państwa w Kołomyji, wskutek czego oskarżony został tymczasowo w urzędzie zasuspendowany.

Nie mając zaszczytu widzieć poprzednio chociażby na chwilkę p. Antoniego Rusina, udaliśmy się do Kołomyji dla poznania go bliższego, z odbyć się mającej rozprawy.

Oprócz niego zasiadał na ławie oskarżonych p. Franciszek W o l f a r t h, były naczelnik Sądu w Wojniłowie, i były poseł do Sejmu krajowego, a obecnie współwłaściciel kopalń nafty w Słobodzie rungurskiej i dziedzic dóbr Kurzany.

W skład trybunału wchodzili: Pp. Radcy J a k u b o w s k i, jako przewodniczący, K a w e c k i, B a r a ń s k i, P o d l a s z e w s k i. Protokolant p. S c h e r f f.

C. k. Prokuratoryę zastępował p. Dr. R y b c z y ń s k i.

P. Rusina bronił Dr. M i l g r o m, adwokat, a p. Wolfartha Dr. G ó r e c k i i Dr. Teobald S e m i l s k i, adwokaci ze Lwowa.

Akt oskarzenia brzmi jak następuje:

„C. k. Prokuratorja Państwa wnosi po myśli 207 p. k przed c. k. Sądem obwodowym, jako wyrokującym w Kołomyji oskarzenie, że:

Antoni Rusin, jako c. k. Sędzia powiatowy w Peczeniżynie, przyjął w r. 1881 w darze od Franciszka Wolfartha, właściciela kopalń naftowych kawałek gruntu, z parceli Nr. 770 w Słobodzie rungurskiej, w objętości 288□ mtr. na założenie szybu naftowego i tem w sprawowaniu obowiązków swoich urzędowych przy wymierzaniu sprawiedliwości do stronniczości nakłonić się dał, a mianowicie:

a) do bezprawnego wydania Franciszkowi Wolfarthowi podania jego przeciwnika Stanisława Szczepanowskiego, z dnia 18. marca 1882 l. 2088, zgłaszającego prawa do wpisania na karcie dawnych ciężarów w księgach gruntowych gminy Słoboda rungurska,

b) do zatwierdzenia, wbrew przepisom ustawy w własnym zakresie działania z pominięciem sądu obwodowego w Kołomyi zawartych ugod sądowych, a to:

1. z dnia 17. Stycznia 1882 do l. 292 pomiędzy opieką małoletniej Anny Ostapiuk a Franciszkiem Wolfarthem w sporze o oddanie części parceli 760 w Słobodzie rungurskiej,

2. z dnia 17. Stycznia 1882 l. 291 pomiędzy tąże opieką a Maryą Popowiczową, Łesiem Popowiczem, Michajłem Ostapiukiem i przystępującym do sporu Franciszkiem Wolfarthem w sporze o oddanie ogrodu Nr. 27 w Słobodzie rungurskiej,

3. z dnia 17. Stycznia 1882 l. 290 pomiędzy Petrem Żołobem, a opieką małoletniego Fedora Żołoba a Franciszkiem Wolfarthem w sporze o oddanie gruntu „Łaz" w Słobodzie rungurskiej, którymi ugodami poszczególnymi powyżej małoletni z majątku nieruchomego wywłaszczeni zostali.

c) do zaniechania załatwienia protokołu rozprawy z 19. Grudnia 1883 l. 8875 w sprawie Edwarda Torosiewicza przeciw Franciszkowi Wolfarthowi o delegacyę innego Sądu do przeprowadzenia sporu o współwłasność gruntu Nr. 473 w Słobodzie rungurskiej, a dalej

II. **Franciszek Wolfarth**, c. k. Sędziego powiatowego Antoniego Rusina do powyższej stronniczości, bezpłatnem wydzieleniem 288□ mtr. gruntu z parceli Nr. 770 w Słobodzie rungurskiej do exploatacyi nafty w roku 1881, a następnie w roku 1882, dostarczeniem środków exploatacyi przez upoważnienie swego zarządcy Włodzimierza Postruskiego do zawarcia umowy z dnia 6. Sierpnia 1882 z Antonim Rusinem względnie tegoż żoną, zabezpieczającą im 20 prc. dochodu z szybu bez żadnych wkładów — skłonił, że zatem Antoni Rusin dopuścił się zbrodni nadużycia władzy urzędowej, przez przyjęcie podarunku w sprawach urzędowych z §. 104 u. k., zaś Franciszek Wolfarth zbrodni nakłonienia do nadużycia władzy urzędowej z §. 105 u. k., podpadających karze w powyższych paragrafach oznaczonej.

Do głównej rozprawy należy zawezwać świadków: Stanisława Szczepanowskiego, Hirsza Guta z Peczeniżyna, Józefa Kühnelta z Diatkowiec, Grzegorza Charaka z Boryni, Włodzimierza Postruskiego z Wojniłowa, Maryę 1mo v. Ostapiuk, 2do v. Popowicz, Michała Malinowskiego, Petra Żołoba z Słobody rungurskiej, Dra Teofila Dębickiego z Kołomyi, Paraskę Skrypnyk z Słobody rungurskiej, Edwarda Torosiewicza ze Lwowa, odczytać zeznania Sygurda Wiśniewskiego, D. 1 sub 18., Józefa Kohmana D. 1 sub 21., umowę z dnia 6. Sierpnia 1881 z D. 1 sub 24. akta cywilne D. 3 i D. 8. a., zeznania Fedora Żołoba D. 8 e. i D. 17., Maryana Kolankowskiego D. 13., Petra Skrypnyka D. 16., Iwana Żołubczuka D. 20., Wasyla Ołexyna D. 21., Michała Ołeksyna D. 22., Jurego Raweńczuka D. 23., Łesia Popowicza D. 24, Michała Ostapiuka D. 25, akt detaksacyi D. 26, Mojżesza Nuty Rottenstreicha zeznania D. 27, akta cywilne D. 34, świadectwo moralności D. 37, odezwę c. k. Starosta D. 38, decyzyę Sądu wyższego D. 44, zeznania Jana Majeranowskiego D. 50, odezwę c. k. Sądu obwodowego w Kołomyi D. 52 53, zeznania Adolfa Sokala i Stanisława Jurskiego D. 54, Adolfa Müllera D. 56, i zażądać się mające kontestacye registratury c. k. Sądu obwodowego w Kołomyi i Brzeżanach.

P o w o d y:

Już od lat kilku głośno o tem mówiono w Peczeniżynie i w Słobodzie rungurskiej, że c. k. Sędzia powiatowy Antoni Rusin, z właścicielem kopalń naftowych Franciszkiem Wolfarthem, od którego grunt w Rungurach na założenie szybu naftowego bezpłatnie otrzymał, w bardzo zawisłych pozostaje stosunkach, że więc trudno stronie mającej Franciszka Wolfartha przeciwnikiem, dochodzić praw swych w Sądzie Peczeniżyńskim, narażaną bywa na zwłoki i nieuzasadnione decyzye, dowodzące jawnie stronniczości i popierania interesów Franciszka Wolfartha.

Zaufanie w sprawiedliwy wymiar prawa c. k. Sądu powiatowego w Peczyniżynie upadało z dniem każdym, skargi i szemrania wzmagały się, a wreszcie znalazły widomy objaw w zażaleniach do c. k. Wyższego Sądu krajowego wniesionych i spowodo-

---

bez słownikow zostałem, pożyczając od poczciwego kolegi. Egzamin półroczny wypadł dobrze. Prócz łaciny, wszystkie eminencye.

W zimie oddziedziczył ojciec po zbankrutowanym kupcu niektóre pozostałe ruchomości za os[illegible]nią przysługę, którą mu w szpitalu i umarłemu wyświadczył. Po długich korowodach, odebrał z magistratu te rupiecia, wartości ówczesnej 200 fl. kon[illegible]ej monety. Dowiedział się o tem i Nie[illegible]or, przysłał studenta, oświadczając, że chce kupić samowar; a gdy ojciec z samowarem przybył, wykpił za pół darmo, zachęcając ojca, ab[illegible] mię za resztę wartości przysłał na korepetycye. [illegible]sadził mię za to na trzeciego w klasie, lecz [illegible] tak bezczelny, iż po kilku miesiącach upomi[illegible] się o pieniądze za korepetycye.

Porzuciliśmy tego Niemca profesora, żegna[illegible] się z pierwszym profesorem po półczwarta roku [illegible]go przewodnictwa. Daliśmy mu obraz jakiś z na[illegible]isem 32 uczniów, zredukowanych do tej liczby ze 150. Później ten Niemiec zbiwszy pieniądze, zbudował wielką kamienicę, nakupił gruntów, został Doktorem filozofii i w r. 1846 jako senator samborski nastawał na to, aby orłowi jednogłowemu, który od czasów Zygmunta Starego zdobił szczyt 36 sążni wysokiej wieży, dodano drugą głowę.

I oto na ten ogromny koszt dla przypięcia drugiej głowy, magistrat samborski zezwolił. Niemiec ten nazywał się L a n g n e r. Na starość uzyskawszy pensyę, przeniósł się do Lwowa.

Muszę się tu pochwalić, że zacząwszy od syntaxymy, chociaż mały żaczek, uczyłem drugich studencików. Między pierwszymi, był kuzynek księdza kanonika i proboszcza samborskiego, od którego płacił mi proboszcz dwa cwancygiery miesięcznie. Do tego kuzynka przyłączył się kościelny, płacąc cwancygiera za synka. Tak więc 10 papierków na rok pobierając, miałem na buty i suknie; i to dobre dla biednego.

Te cztery klasy łacińskie zwały się gramatykalnemi. Jeden profesor uczył i wodził przez cztery klasy, potem wracał znów do pierwszej, która się zwała p a r w ą, druga i n f i m ą, trzecia g r a m a t y k ą, czwarta s y n t a k s ą.

Przedmioty: łacina, a w trzeciej grecki język, ale tylko deklinacye i konjugacye. Geografia, w pierwszej początki i ogólny pogląd. W drugiej geografia i historya austryacka. W trzeciej geografia i historya Niemiec, Francyi, Włoch, Szwajcaryi i t. d. W czwartej geografia Anglii, Danii, Szwecyi, Rossyi, Hiszpanii, Portugalii i historya. O Polsce nie było ani wzmianki. Ściśle przestrzeganie mówienia językiem niemieckim, a od gramatyki już łacińskim.

Po tych klasach przychodziło się do szkół h u m a n i o r a m i zwanych. Tu nowy profesor rozpoczynał kurs, i prowadził przez dwa lata.

Profesorem naszym był śledziennik Siemianowicz, nudziarz okropny, stary Rusin, wieczny zrzęda. Bity grek i łacinnik, pragnął, aby każdy z nas był równy jemu, a to trudno. W pierwszej h u m a n i o r ó w, którą my poetyką nazywali, były prawidła do poezyi, do krasomówstwa, mitologia rzymska, zwana stylem, prawidłowo to „zakręcileb" po łacinie, nie każdemu lazł do głowy. Wiersze po łacinie robić, kuć poezye, nie każdemu dano, a profesor żądał, aby mu każdy uczeń choć dwa wiersze sklecił.

Pchano się do mnie jak po węgle, znoszono kubany, aby klecić wiersze, a trzeba było zmieniać, aby stary swazor nie poznał, bo kpił i mścił się. Większa część słuchaczy nawet nie rozumiała ani poezyi, ani różnych jej rodzajów, bo któż z rzymskiej poezyi był mądrym? Gdyby to był polskich poezyj uczył, byłaby młodzież rozumiała i jakie takie pojęcie miała. Ale że to po łacinie, albo po niemiecku, to nie lgło do umysłu młodzieńczego. Wiersze niemieckie nie każdy posiadał, bo książka była droga, tylko pożyczaniem i pospiesznem czytaniem zachwytywało się niektóre wyrazy. Cały ten styl był zabiciem ducha i czasu.

Siemianowicz gniewał się i wściekał, że młodzież nie rozumie i nie przejmuje się poezyą. Styl był to spiritus confusionis. Raz przysiadł mię, że nie dobrze wypisałem w opisaniu morskiej burzy, o której nie miałem wyobrażenia, a miałem się wypisać po łacinie. Ciągle warczał, że mi się nie chce, a gdy mię raz przycupił, żem od drugiego profesora Strzeleckiego wypożyczał do czytania książki polskie, ponoś poezye Naruszewicza, które połykałem i wbijał w pamięci swojej, gniewał się, że szkolnych książek nie pilnuję, a inne czytam, i mówił koledze, aby mi nie wypożyczał. Za wypożyczanie książek płaciłem cztery cwancygiery miesięcznie, co było wielkim kosztem dla ubogiego. Strzelecki tłumaczył Siemianowiczowi, że te właśnie

wały wdrożenie dochodzeń dyscyplinarnych przeciw Antoniemu Rusinowi.

Dochodzenie to, jakoteż później wdrożone dochodzenie karne, nie zbiły wcale tych pogłosek i zażaleń, stwierdziły bowiem, że pomiędzy oboma obwinionymi oprócz dawnego koleżeństwa, zachodzi jeszcze stosunek daleko ściślejszy, stosunek materyalnej zawisłości Sędziego powiatowego Rusina od Franciszka Wolfartha.

Mianowicie przyznał Franciszek] Wolfarth, że jeszcze dawniej, gdy kopalnie naftowe w Słobodzie nie miały dzisiejszego rozgłosu, proponował spółkę Antoniemu Rusinowi, który jednak dla braku funduszów propozycyi tej nie przyjął; że w roku 1881 w czasie rozkwitu tego przedsiębiorstwa sędzia Rusin, zjechawszy się z nim przypadkowo, czy też umyślnie w Słobodzie rungurskiej, wyraził mu żal swój, że ongi odrzucił jego propozycyę, a obecnie niby już nie śmiał proponować mu spółki; że wskutek tej przymówki ofiarował Rusinowi kawałek gruntu na założenie szybu naftowego, nie żądając żadnego wynagrodzenia; że sędzia Rusin wahał się wprawdzie przyjąć propozycyę bez wynagrodzenia, że później cena kupna wprawdzie na 100 złr. oznaczoną, lecz dotąd uiszczoną nie została; że wreszcie dla umożebnienia Rusinowi wydobycia korzyści z rzeczonego gruntu, upoważnił swego zarządzcę Włodzimierza Postruskiego do zawarcia umowy z Rusinem, a względnie z jego żoną, zabezpieczającą mu 20% zysku z szybu przez Postruskiego własnym kosztem założyć się mającego.

Obwiniony Antoni Rusin, przyznaje również powyższe fakta, przeczy jednak, jakoby interes ten był darowizną, a na poparcie swej obrony naprowadza, że działał otwarcie, z nabyciem się nie krył, a nawet zezwolił na ochrzczenie założonego szybu swojem nazwiskiem.

Jeżeli się jednak zważy:

że ze słów przy zawarciu umowy mimochodem przez Wolfartha rzuconych: „kiedyś zapłacisz mi Pan coś za to“ nie mniej i z tego, że później przez Rusina, niby na 100 złr. oznaczona cena kupna, nigdy nawet żądaną, a tem mniej zapłaconą została, nie wątpliwie się okazuje, że Wohlfarth w rzeczywistości grunt rzeczony bezpłatnie Rusinowi ofiarował, a tenże po krótkiem położeniem rzeczy wskazanem wahaniu się i oporze, propozycyę przyjął, później zaś tylko dla formalności cenę kupna, która nigdy zapłaconą być nie miała, fikcyjnie oznaczył — że wedle zeznań Włodzimierza Postruskiego, Wolfarth wyraźnie przyznał, że Rusinowi grunt rzeczony darował, że dalej Antoni Rusin nie mogąc praw swych na odnośnym gruncie tabularnie zabezpieczyć, a tem samem znaleść spólnika do eksploatacyi nafty, uzyskał nowe poparcie u Franciszka Wolfartha, który przez swego pełnomocnika zawarł z nim umowę, zabezpieczającą mu bez wkładu 20% surowego zysku;

że wreszcie Antoni Rusin miał sobie powierzony wymiar sprawiedliwości w powiecie, do którego Słoboda rungurska należy, i przeto był sędzią, orzekającym w licznych sprawach właściciela kopalń rungurskich Franciszka Wolfartha, — to nie ulegnie wątpliwości, że sędzia Rusin przyjął podarunek w urzędowaniu, przyszedł bowiem do własności gruntu, a następnie do 20% surowego zysku wydobywanej nafty, nie włożywszy szeląga, i jedynie ze szczodrobliwości Franciszka Wolfartha, poszukującego od roku 1877 pomocy prawa w Sądzie, którego Rusin był naczelnikiem.

Że zaś obwiniony Antoni Rusin przysporzeniem tych materyalnych korzyści dał się odwieść od prawidłowego wykonywania obowiązków sędziowskich i uwieść do stronniczości, wynika to z całego toku jego urzędowania w sprawach, w których Wolfrath był stroną interesowaną, a co w szczególności z faktów w oskarżeniu podniesionych, które właśnie zbiegają się z tym okresem czasu, w którym sędzia Rusin przyszedł w posiadanie rzeczonego gruntu i 20% udziału z utworzonego na gruncie tym szychtu naftowego.

Dnia 28. marca 1882 do L. 2088 wpłynęło do c. k. Sądu powiatowego w Peczeniżynie podanie Stanisława Szczepanowskiego przeciw Franciszkowi Wolfahrtowi i innym, zgłaszające rozmaite prawa do wpisania na karcie dawniejszych ciężarów w księgach gruntowych Słobody rungurskiej. Podanie to po kilku bardzo przewlekłych terminach, bez oznaczenia w księgach plumbatury, wydaje c. k. Sędzia powiatowy Rusin w Grudniu 1882 pomimo przynaglenia Stanisława Szczepanowskiego z dnia 20 listopada 1882., domagającego się plumbatury i rychłego załatwienia, przeciwnikowi Franciszkowi Wolfartowi.

Fakt ten wzięty sam dla siebie, z uwagi, że Stanisław Szczepanowski oświadczył, że ztąd żadnej nie ponosi szkody, mógłby stanowić tylko przekroczenie dyscyplinarne, gdyby nie było faktem, że podówczas pomiędzy sędzią Rusinem a Franciszkiem Wolfarthem istniał już stosunek zawisłości materyalnej, że Rusin był już w posiadaniu gruntu Wolfartha w Słobodzie rungurskiej. Była to więc widocznie owa nieokreślona zapłata, o której Wolfrath przy oddaniu gruntu wspomniał, wyraz owej wdzięczności, o której go Rusin przy owej sposobności zapewniał.

Obwiniony Antoni Rusin tłumaczy się, że nie widział nic zdrożnego w wydaniu rzeczonego podania Wolfrathowi, gdyż strony podówczas paktowały ugodę, że podanie to wydał w obecności adwokata Dr. Dębickiego, jako pełnomocnika Szczepanowskiego.

Tłumaczenie się to nie może jednak usprawiedliwiać działania obwinionego, bo przedewszystkiem jako sędziemu, było mu dobrze wiadomem, że każde do Sądu wniesione podanie, załatwionem być musi, a nadto zeznał Szczepanowski, że na wydanie podania nigdy nie zezwalał i o nieprawidłowej tej manipulacyi dowiedział się dopiero w kancelaryi c k. Notaryusza Thürmanna, gdzie podanie rzeczone obaczył. Zresztą krótki czas przed wydaniem, urgował Szczepanowski załatwienie, a Dr. Dębicki zeznał, że nie był wcale jego pełnomocnikiem, lecz tylko doradcą prawnym.

Nie ulega więc wątpliwości, że obwiniony dał się w tym wypadku uwieść do nieprawidłowego postępowania naleganiom Wolfartha, ze względu na istniejący pomiędzy nimi stosunek.

Franciszek Wolfarth rozszerzając swe kopalnie nafty w Słobodzie rungurskiej, nabywał od włościan tamtejszych rozmaite grunta.

Przy zakładaniu ksiąg gruntowych okazało się, że pomiędzy tymi pośrednio lub też bezpośrednio nabytymi gruntami, znajdują się grunta małoletnich, które pozbyto bez zezwolenia instancy[i] nadopiekuńczej, a mianowicie, że część parceli N[r.] 760. stanowiącą własność małoletniej Anny Osta[piuk], sprzedała tejże matka samowładnie Mojże[—]szowi Nucie Rottenstrauchowi, a ostatni Francisz[—]kowi Wolfarthowi, że część ogrodu Nr. 37 stano[—]wiącą własność tejże małoletniej sprzedała tejż[e] matka samowładnie Michałowi Ostapiukowi, ż[e] wreszcie grunt „Łaz“, należący do małoletnich spad[—]kobierców Lesia Żołoba sprzedał małoletni Petr[o] Żołob samowładnie Franciszkowi Wolfarthowi.

W skutek zarządzenia c. k. Prezydyum Sąd[u] obwodowego w Kołomyi, przyjęto w dniu 6. Czerwca 1881 w c. k. Sądzie powiatowym w Peczeniżynie pod manudukcyą sądową 3 pozwy do L. 3677 3678 i 3679, a to imieniem małoletniej Anny Ostapiuk, Petra i Fedora Żołobów przeciw Franciszkowi Wolfarthowi i innym o oddanie części parceli Nr. 760, ogrodu Nr. 37 i gruntu „Łaz“ w Słobodzie rungurskiej.

W toku wdrożonych sporów wniósł małoletni Petro Żołob dnia 31. grudnia 1881 prośbę o uwłasnowolnienie, wskutek czego wyznaczono do przesłuchania opieki termin na 14. stycznia 1882. i tegoż dnia wydano a nawet wyexpedyowano dekret pełnoletności.

Wszystkie trzy spory zakończyły się ug[oda]mi sądowemi dnia 17. stycznia 1882 do L. 29[1] 292, 290 zawartemi, których wynik był ten, że małoletnia Anna Ostapiuk za grunta, których ewentualną wartość w pozwach po 400 złr. oznaczono, zadowoliła się kwotami 150 złr. 125 złr. zaś Fedor Żołob, za prawa swe do gruntu na 560 złr. oszacowanego w inwentarzu, a raczej jako spłaty należącej mu schedy, prócz otrzymanej tu kwoty 100 złr. otrzymał jeszcze 100 złr.

Tutaj się zauważa, że w aktach odnośnych nie ma śladu jakiegokolwiek zarządzenia, dążącego do zabezpieczenia ugodami nabytych praw małoletnich, przez złożenie odnośnych kwot do depozytu sądowego, i że grunta odnośne wedle oszacowania znacznie większą miały wartość:

C. k. auskultant Charak, który ugody powyższe spisywał, oddał odnośne protokoły prowadzącemu protokół podawczy, a nie znalazłszy je drugiego dnia pomiędzy przydzielonemi mu exhibitami, sprawdził, że c. k. Sędzia Rusin ugody te już załatwił.

Podjąwszy zatem odnośne referaty, udał się natychmiast z przedstawieniem do obwinionego, a mianowicie zwrócił tegoż uwagę, że ugody te należało Sądowi obwodowemu do załatwienia przedłożyć, że nadto ugoda z Żołobami do merytorycznego załatwienia jeszcze nie dojrzała.

Gdy powołany adjunkt Czyrowski podzielał także zapatrywanie Charaka, polecił obwiniony ostatniemu, by ugody z Ostapiukami tymczasowo zatrzymać u siebie, aż do zaciągnięcia opinii w tej mierze prawników w Kołomyi, by wre[szcie] [r]ozprawę ugodową z Żołobami uzupełnił i [illegible] bowiem nie zachodzi żadna wątpliwość, gdyż Petro Żołob jest już pełnomocnikiem, zaś Fedor Żołob do substancyi prawa nie ma.

W skutek tego polecenia uzupełnił Charak rozprawę z Żołobami, i załatwił odnośną ugodę dnia 30. Maja 1882, dwie zaś ugody z Anną Ostapiuk z referatami zatwierdzającymi z dnia 18 Sty-

---

nasze poezye mogą podać wzór uczniom do niemieckich wierszów.

Przez to czytanie nabrałem chętki do poezyi, i składałem nie złe wiersze, ale po polsku. Swazor nie bronił mi tego, to też i inni poszli moim torem.

W pierwszej humaniorów, wykładano geografię i historyę: Azyi, Afryki i Ameryki i początki algebry, ale po łacinie. I cóż z tego całego roku skorzystała młodzież? Zgoła nic. Podobny temu był i drugi rok, czyli retoryka.

Tu uczono wymowy, różnych figur krasomówstwa, mów, dramatów i t. p., które nie czepiały się niewykształconego rozumu, tylko pamięci. Uczeń, nie umiejący ułożyć prostego listu, musiał układać mowy cycerońskie, demostenesowe i t. d., a to albo po łacinie, albo po niemiecku. Nie byłoż to sztuką skoczka? Nie dziw, że ukończywszy szkoły gimnazyalne, mało który umiał się rozmówić dobrze czy to po łacinie, czy po niemiecku, a język polski był kontrabandą i bardzo kiepsko w nim się tłumaczono.

Religia była po niemiecku górnemi wyrazy opowiadana, polemikę z kacerstwem traktująca, to dowodząca o bytności Boga, o nieśmiertelności duszy, o bóstwie Chrystusa i prawdziwości cudów jego, o prawdziwości pism ewangielicznych i t. d. — co nie było na miejscu, bo te zarzuty niedowiarków budziły w młodzieńczym duchu wątpliwości, a w końcu niewiarę lub oziębłość. Bywały przykłady, że niesforne umysły niejednych uczniów oddających się swawoli i pijaństwu, zmowami swemi psuły kolegów, lub tępiły w nich wiarę, z mlekiem matki wyssaną. Pamiętam, jak kilku z młodzieży przeszło na wiarę luterską i zostało ekskludowanych ze szkół. A na filozofii, to już mało który trzymał się wiary ojców. Wszystko było wolnomyślącem w głupocie i zarozumiałości swojej, bo religia nie była uczoną w czynach, w doświadczeniach, ale na pamięć z wielką mozołą trzeba ją było dosłownie wykuć, przez co obmierzła.

W retoryce uczono historyi starożytnych wieków i geografii, która odrażała każdego, gdyż była za trudną, niezrozumiałą, nie zajmującą, przekręconą, to też żaden jej nie umiał i nie rozumiał, tylko z pamięci gadał jak papuga, co się mógł nauczyć. Algebra zaś po łacinie dobijała do reszty myśl i umysł młodzieńców. Do tego powstała niechęć do nauk u starszych, z powodu wybuchłej naonczas rewolucyi warszawskiej, do której ten lub ów pospieszył. Drobniejsi, do których i ja należałem, za przykładem drugich nic się prawie nie uczyliśmy; a gdy na dobitek umarł nam ten nudny, pedantyczny profesor, wskutek kłótni z jednym uczniem, posuniętej do ostateczności, opuściła nas zupełnie chęć uczenia się — śmierć moralna.

W tem wybuchła dotąd nieznajoma a straszna — cholera. Rząd nakazał rozpuścić młodzież do domu. Przyspieszono egzamina. Nauczyciele rozebrali u nas różne przedmioty i po kilka kartek nakazali się nam uczyć, aby egzamin zdać można. I tak uszło nam bez wielkich trudów i kucia zdać egzamin i ukończyć szkoły gimnazyalne — co było wielką dla nas godnością, mądrością i głupią zarozumiałością. Zdawało się nam, żeśmy cały zasób nauk połknęli, że przed naszym rozumem całe miasto czołem bić powinno; a my byli głupcy, którzy uczciwego listu, albo może sensu skleić nie zdołali ani po łacinie, ani po niemiecku, ani nawet w zakazanym polskim języku.

Jaki taki z ukończonych retorów chodził już na szynk lub do sklepiku na rozolis, zapalał fajkę, bo cygarów jeszcze nie było, brał lask[ę] [do] rąk, zadzierał nos do góry — bo on filozofem. Osłem był z długiemi uszami, bo nie rozumiał nawet, kto mu swat, kto mu brat, a kto wrogiem; nie rozumiał tego nawet, że był Polakiem, bo o tem mu przez wszystkie lat 10 nikt nie powiedział. „Galicyaninem“ się każdy mienił, a Polakiem nikt się zwać nie ośmielił, bo to było zbrodnią. Polaków uważaliśmy za osobny naród, nie mający z nami żadnego wspólnego interesu. Taka to była filozofia u nas.

Były ciemności egipskie w Galicyi takie, ja[—]kie dziś n. p. w Moskwie. Dowodem tego przechód korpusu jenerała Dwernickiego przez Sambor. Młodzież gimnazyalna wyruszyła naprzeciw li z ciekawości i nie rozumiała, że to rodacy nasi, bracia, którzy walczyli za wolność z Moskalem. Bez owacyi, bez okrzyku, patrzyła na wojsko rozbrojone i dziwiła się, że szlachta wrzeszczała i bale wyprawiała, a Niemcy profesorowie i urzędnicy gniewali się, że szlachta nie ma czem podatków opłacać, a bale dla rebelantów ma za co sprawiać.

(C. d. n.)

cznia 1882. leżały czas dłuższy w biurze Charaka, a dopiero w Maju zabrał je c. k. Sędzia Rusin i wyexpedyować kazał.

Powyższy przebieg rzeczy stwierdzony aktami cywilnymi, zeznaniami Charaka, Ostapiuków i Żołobów, daje jaskrawy obraz stronniczości, z jaką obwiniony Antoni Rusin postępywał w tej sprawie, Franciszka Wolfartha bardzo żywo obchodzącej, któremu na nabyciu owych gruntów bez wielkich ofiar niezmiernie wiele zależało,' gdyż miał on je w swojem posiadaniu, a niektóre nawet zabudował.

Obwiniony tłumaczy się wprawdzie, że nie czytując przedaktów, był mniemania, że masy Ostapiuka i Żołoba nie są jeszcze przyznane, że więc jako sędzia spadkowy do zatwierdzenia ugód był powołany.

Jeżeli się jednak zważy, że natychmiast zwrócono uwagę obwinionego na tę nieprawidłowość, że odnośny referat od 18. stycznia do 16 maja 1882 leżał nie expedyowany, że w obec poruszonych wątpliwości miał obwiniony dość czasu, tak do zbadania wypadku, jak też do przejrzenia aktów, że auskultant Charak stwierdził, iż obwiniony podnosząc akta z jego bióra, oświadczył, iż „jeżeli Wolfarth dozwoli intabulacyi, to wyexpedyuje ugody, a jeżeli nie, to niech go diabli wezmą", że czas expedycyi owych ugód zbiega się właśnie z czasem, w którym Rusin, z powodu, że Wolfarth nie dozwolił mu intabulacyi praw nabytych na gruncie w Słobodzie rungurskiej, w wielkim był kłopocie, gdyż wspólnika z tego powodu znaleść nie mógł, że wkrótce po ekspedycyi owych ugód, już po dniu 27. lipca 1882 przyszła do skutku komplanacya z dnia 6. Sierpnia 1882. pomiędzy Postruskim, pełnomocnikiem Wolfartha, a żoną obwinionego, co do 20% udziału w szybie naftowym w Słobodzie rungurskiej, to okazuje się jasnem, że Sędzia Rusin, przyspieszając z jednej strony w sposób niezwykły upełnoletnienie Petra Żołoba, z drugiej strony zatwierdzając niepowołanie i wbrew przedstawieniom podwładnych zawarte ugody, a wreszcie nie wydając żadnego zarządzenia co do zabezpieczenia ugodami małoletnim przyznanego wynagrodzenia, dał się na korzyść Wolfartha uwieść od prawidłowego wykonywania obowiązków sędziowskich, ze względu na korzyści materyalne, przez tegoż mu przysporzone.

Nie mniej jest wreszcie jaskrawym fakt, że obwiniony Antoni Rusin, rozprawę z dnia 19. Grudnia 1883, w której Edward Torosiewicz właśnie ze względu na te niepocieszne stosunki, w sporze z Wolfarthem o delegacyę innego Sądu upraszał, dotąd wcale nie załatwił, a tłumaczenie się obwinionego, że działa tak rozmyślnie, by go o stronniczość dla Wolfartha nie podejrzywano, sprzeciwia się zasadom zdrowej logiki.

Gdy więc tym sposobem stwierdzonem zostało, że c. k. Sędzia powiatowy Antoni Rusin od Franciszka Wolfartha, mającego w Sądzie Peczeniżyńskim rozmaite sprawy, otrzymał materyalne korzyści, że dalej w sprawach Franciszka Wolfartha z pominięciem przepisów ustawy przy wymierzaniu sprawiedliwości nieprawidłowo na korzyść tegoż działał, przeto w obec zachodzących znamion zbrodni z §. 104 u. k. oskarżenie co do niego po myśli §. 207 u. k. jest usprawiedliwione.

Obwiniony Franciszek Wolfarth przyznaje, że rzeczywiście odstąpił bezpłatnie w pierwszej połowie roku 1881 kawałek gruntu w Słobodzie rungurskiej, na założenie szybu naftowego, Antoniemu Rusinowi, jako swemu koledze, którego już dawniej do spółki w swem przedsiębiorstwie nakłaniał, a nadto w celu przekonania się o ile teren, w którym szyb Rusina miał być założonym, do eksploatacyi nafty się nadaje. A zatem nie chęć pozyskania sobie przychylności Antoniego Rusina jako naczelnika Sądu, w którego obrębie kopalnie Franciszka Wolfartha leżały, nie zamiar nakłonienia rzeczonego sędziego do nieprawidłowego lub stronniczego urzędowania w sprawach sądowych, w których był interesowanym, były powodem rzeczonej ofiary, lecz jedynie własny interes, a jako dowód, przytacza Franciszek Wolfarth tę okoliczność, że także i innym osobom w ten sam sposób dla zbadania terenu naftodajnego, grunta do eksploatacyi bezpłatnie odstępywał.

Dalej utrzymuje Franciszek Wolfarth, że względów c. k. sędziego powiatowego Antoniego Rusina wcale nie potrzebował, albowiem w Sądzie Peczeniżyńskim bardzo mało miał procesów, a i te nie bardzo korzystnie dlań wypadły, — że wreszcie nie on był tym, który przez zawarcie spółki umożliwił Antoniemu Rusinowi założenie szybu i wydostanie nafty, lecz Włodzimierz Postruski, który do spółki z Rusinem przystąpił, do której on sam dopiero później się przyłączył, — że w obec wielkich kosztów, a małej ilości wydobytej nafty, Rusin nawet żadnych ztąd nie odniósł korzyści.

Obrona ta atoli obwinionego w dochodzeniu nie została stwierdzona.

Przesłuchani świadkowie a to: Stanisław Szczepanowski, Adolf Sokol, Stanisław Jurski, Włodzimierz Postruski i Adolf Müller, stwierdzili wprawdzie, że Franciszek Wolfarth oddawał swe grunta innym osobom do eksploatacyi nafty, przyczem sobie jednak zastrzegał pewien znaczny procent czystego zysku bez żadnych wkładów.

Były to zatem stosunki zupełnie inne od tych, które pomiędzy nim, a Antonim Rusinem sprawdzono, a jedyny podobny wypadek zachodził w stosunku do Adolfa Sokola, obdarzonego również kawałkiem gruntu bezpłatnie, lecz stało to się z tytułu powinowactwa, Adolf Sokol bowiem jest szwagrem Franciszka Wolfartha.

Wbrew obronie obwinionego stwierdził świadek Włodzimierz Postruski, że go właśnie obwiniony nakłonił do założenia w spółce szybu naftowego na gruncie Rusinowi oddanym, i zabezpieczenia ostatniemu 20% od wydobytej nafty, bez żadnych wkładów.

Z powyższego wynika, że w działaniu Franciszka Wolfartha leżał nieutajony zamiar przysporzenia Antoniemu Rusinowi materyalnych korzyści, a stosunek koleżeństwa dawnego, działanie to tem mniej usprawiedliwić może, ile, że obdarzony wykonywał władzę sędziego w obrębie, w którym przedsiębiorstwo Wolfartha leżało, który też z natury rzeczy był, lub w każdej chwili być mógł w położeniu żądania pomocy Sądu, którego naczelnikiem był obdarzony. Że zaś celem tego działania Franciszka Wolfartha było właśnie zniewolenie Antoniego Rusina do stronniczości w jego sprawach sądowych, i że cel ten został osiągnięty, to zostało wykazanem już powyżej w uzasadnieniu oskarżenia przeciw Antoniemu Rusinowi.

Tu się tylko nadmienia, że obrona Franciszka Wolfartha, jakoby Stanisław Szczepanowski nie był jego przeciwnikiem w sprawie, w której mu Antoni Rusin niezałatwione podanie do L. 2088|82 wydał, jakoby wydanie to uskutecznione zostało za wiedzą i zgodą Szazepanowskiego, pozostaje w sprzeczności z zeznaniami ostatniego, tudzież adw. dra. Dębickiego, — że nie zatwierdzenie ugód z Anną Ostapiuk zawartych, przez lustacyę nadkuratorną, rzeczy nie zmienia, ile, że tu nie o rzeczywiście wyrządzoną szkodę, lecz o spowodowanie materyalną zawisłością sędziego Rusina do nieprawidłowego urzędowania i stronniczej uchwały się rozchodzi.

Sprawdzony tym sposobem stan rzeczy usprawiedliwia po myśli §. 207 p. k. oskarżenie przeciw Franciszkowi Wolfarthowi w zupełności.

Kołomyja dnia 11. Maja 1885.

C. k. Prokurator.

Żałujemy mocno, że ramy pisma dwutygodniowego, nie dozwalają nam podać tak obszernego sprawozdania, jakbyśmy to chcieli uczynić; a szkoda, bo przebieg sprawy nastręczał wiele ciekawych momentów, które zebrane w jeden obraz, pouczyłyby znowu nasze społeczeństwo, w jaki sposóa odbywa się ruch ekonomiczny w kraju, jak szanowane są ustawy prawne, nadane krajowi przez Najszlachetniejszego Monarchę, szczególniej, jaka to dowolność panuje u pewnych śmiertelników, których obowiązkiem jest stać na straży tych ustaw, a jak dowolnie takowe zastósowują.

Ograniczymy się więc na kilku jaskrawszych szkicach, które podajemy zupełnie przedmiotowo.

Po stawieniu się świadków, skonstatował p. Przewodniczący nieobecność świadka p. Włodzimierza **Postruskiego**, który aczkolwiek odebrał wezwanie, pojechał do Ostendy i tam bawi. Trybunał udał się na ustęp, aby uchwalić, czy z powodu nieobecności tego ważnego świadka, odroczyć rozprawę, lub też ją dalej prowadzić.

Po naradzie ogłosił Przewodniczący uchwałę, iż postanowi w tym względzie po wysłuchaniu oskarżonych i innych świadków.

P. Przew. zapytał oskarżonego Antoniego Rusina, czy się poczuwa do winy zarzuconej mu zbrodni.

Rusin odpowiada, że nie, i w dłuższem tłómaczeniu usiłuje się z czynionych mu zarzutów usprawiedliwić.

Nader ciekawy moment stanowiło wyjaśnienie p. Rusina, w jaki sposób w niektórych Sądach powiatowych załatwiane bywają takie podania, jak p. Stanisława Szczepanowskiego, przeciw p. Franciszkowi Wolfarthowi i innym, zgłaszające rozmaite prawa do wpisania na karcie dawniejszych ciężarów w księgach gruntowych.

P. Przew. usiłował wydobyć z oskarżonego wyjaśnienia, w jaki sposób czynił tenże jako Naczelnik Sądu zadosyć ustawie prawnej. Udowodnionem albowiem zostało, że podanie to leżało na stole u p. auskultanta **Charaka** przez kilka miesięcy, a p. naczelnik A. Rusin nie dozwalał, aby było załatwione, podając za przyczynę, że strony traktują o inną ugodę. Następnie wydał to podanie p. Rusin w ręce p. Wolfartha, chociaż nie było w Sądzie załatwione.

Przew. Jak pan załatwiałeś takie podania, objęte w ustawach, jak się załatwiają?

Osk. wyjaśnia postępowanie swoje wprost przeciwne ustawom, a w końcu dodaje: — „Tak praktykowaliśmy, tak załatwialiśmy".

Przew.: Jakto! wbrew ustawie?! Dlaczego trzymałeś Pan to podanie u siebie cały rok?

Osk.: Bo nie można było załatwić, gdyż Wolfarth wziął.

Przew.: Jeżeliś Pan tak postąpił, to powinieneś się był starać o odebranie.

Osk.: Pisałem listy, ale Wolfarth mi nawet nie odpowiadał na nie.

Przew.: Czemuś Pan zaraz nie urgował?

Osk.: Można i zapomnieć.

Przew.: Proszę mi powiedzieć, coś pan uczynił z tem podaniem po przeczytaniu, aby takowe załatwić?

Osk.: **W tej chwili położyłem na stół.**

Przew.: Jak pan mogłeś wydać takie podanie w ręce p. Wolfartha?

Osk.: Bo mię prosił na jeden lub dwa dni.

Przew.: No, to mi pan wytłumacz, co pana spowodowało, że to podanie leżało rok cały bez załatwienia?

Osk.: Położyło się — zarzuciło się — i koniec.

Druga część oskarżenia jest jeszcze ciekawsza, a dotyczyła spadku małoletnich. Tu przedstawił się ciekawy obrazek nabywania gruntów w Kalifornii galicyjskiej, jak naftodajna Słoboda rungurska, z której przedsiębiorcy wydobyli już miliony, a przygotowania dalsze, jakie się czynią i kapitały, jakie w to przedsiębiorstwo rzucają, dozwalają twierdzić, że się nadal wydobywać będą dalsze miliony. Smutno jednak pomyśleć, w jaki sposób wywłaszczani są pierwotni właściciele tych skarbów, nasz biedny i nieszczęśliwy lud górski.

Dla lepszego pojęcia, wpleciemy tu taki obrazek:

P. Rosenkranz, był sobie w Słobodzie rungurskiej bardzo skromnym szynkarzem i w czasie rozpoczęcia kopalń, przewidując jakąś przyszłość tychże, nabył **nader tanio** kilkanaście morgów w różnych miejscach od włościan pastwisk górnych i gruntów. P. Rosenkranz nie bawił się sam w kopanie i wkładanie kapitałów, bo ich wprost nie posiadał, natomiast oddawał i oddaje grunta nabyte pod szyby naftowe na procenta. Obecnie, chociaż tylko część tych gruntów zajęta, ma z procentów czystego zysku trzydzieście tysięcy złr. miesięcznie. Jakaś kompania angielska ofiarowała mu niedawno za resztę gruntów 700.000 złr., lecz się pan Rosenkranz na tę propozycyę nie zgodził. Żąda on albowiem: — „**eine runde Million**" — **und in keinen Pappieren, nur in Bankaoten, die in der Monarchie den Cours haben**". — Jak twierdzą rzeczoznawcy, żądanie p. Rosenkranza prędzej czy później będzie urzeczywistnione. Czeka on cierpliwie na ten milionik, a aby się nie nudzić, daje mu trafika w Peczeniżynie i podobno malutki szynczek dosyć rozrywki. „A cóż się stało z właścicielami tych złotodajnych gruntów?" — zapytasz szanowny czytelniku; — ot, możemy Ci powiedzieć, że tam już ani śladu po nich. Po załatwieniu rachunku z p. Rosenkranzem, po wypiciu mohoryczu, po schowaniu do kieszeni kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu guldenów, jako ostateczne go wyniku z obrachunków, jedni, uraczywszy się jeszcze za tę gotówkę, gdy już brakło i chaty, i gruntu, poszli za radą innych przyjaciół mojżeszowego wyznania, wędrując za chlebem na Besarabię, lub gdzieindziej w świat i od tego czasu wieść o nich zaginęła. Tu i owdzie błąka się jeszcze po obcych jakaś sierota lub wdowa i tuli się gdziekolwiek, żyjąc jak ptak lub zwierzę leśne.

Oto i obrazek, dotyczący rozprawy, ujęty jest w takie same ramy.

Do nader znanych osobistości w całym okręgu naftowym Słobody rungurskiej, należy p. Mojsze Nute Rottenstrauch, który ma szczególny talent do nabywania od włościan gruntów naftowych, a jest on tak uczynnym, że nie myśląc jeszcze o nabyciu, ratuje biedaków różnymi drobnymi forszusami. Naturalnie, musi dbać o to, aby ten ratunek napowrót odzyskać. Mąż Maryi Ostapiuk, która poszła za mąż po raz drugi, winien był Mojsze Nucie, jak go powszechnie huculi nazywają, 30 złr., a chociaż nie miał prawa do sprzedania ogrodu i gruntów, jak go zaczęły żydy „podchodyty" (tak zeznaje Marya Ostapiuk) tak go i zawieźli do Peczeniżyna. Rotterstrauch zrobił z nim obrachunek, dodał pewną kwotę i nabył grunt małoletniej Anny i jej. „Ja się temu opierała, z mężem nie sprzedawała. Michajło Ostapiuk ciągle

mi gadał: —„Odstąp z tego kawałka; szczo choczesz, ja tobi dam“. Dał mi spłaty: krowę z cielęciem i 100 „baniek“ (złr.) na ogród i kawałek gruntu gdzieindziej“. Dziś widzi, że jej się stała wielka krzywda, bo grunt był wart co najmniej 2.000 złr.

P. Wolfarth nabył od Mojsze Nute Rottenstraucha ten ogród i grunta, ale wiedząc zapewne, że sposób nabycia przez Rottenstraucha, z pominięciem małoletnich, Petra i Fedora Żołobów, nie jest zbyt czysty, postanowił traktować z samymi spadkobiercami. A stało się to w szczególny sposób, gdy pewnego razu zawezwano 22-letniego Petra Żołoba do Sądu w Peczeniżynie, gdzie się dowiedział, że wniesiono za niego podanie, o upełletnienie, które mu Sąd ogłosił, a równocześnie wiedział sie, że mianowany został współopiekunem swego 15-letniego brata Fedora. Zaraz niewem, jako opiekun i współwłaściciel, podpisał ntrakt sprzedaży na rzecz p. Wolfartha.

Mniejsza o cyfry i inne drobniejsze szczegó. Nie mamy tu na nie miejsca. Kontrakt ten zaarty w Sądzie Peczeniżyńskim z polecenia pana czelnika Rusina, przez auskultanta p. Charaka, óry jeden rzeczywiście nie mogąc cofnąć tej rawy, usiłował przynajmniej na rzecz sprzedających wytargować cośkolwiek więcej od p. Wolrtha. Pomimo zwracania uwagi p. naczelnikowi, ontrakt ten nie został przesłany do Sądu obwodoego dla potwierdzenia, jak tego wyraźnie ustawa obec małoletnich wymaga.

P. Przew. nie tai swego zdziwienia i zapytu p. Rusina, jak się mógł dopuścić takiej nieprawidłowości w urzędowaniu?

P. Rusin odpowiada, że taka manipulacya ie od dziś się praktykuje w Sądach powiatowych a prowincyi. Czasem przedkłada się rzeczywiście ądowi obwodowemu takie akta o zatwierdzenie, cz często bardzo załatwia to sam naczelnik Sąu odnośnego i nie przedkłada Sądowi obwodoemu.

P. Wolfarth zabiera również głos w tem obśnieniu i stwierdza, opierając się na własnych oświadczeniach, jako były naczelnik Sądu pow. Wojniłowie, że to jest zwyczaj dawny w naych Sądach powiatowych, tak się działo i dzieje, Sędziowie nie bywają za to do odpowiedzialnoi pociągani. (Wielka sensacya pomiędzy publinością).

P. Fr. W o l f a r t h, zapytany przez p. przeodniczącego, odpowiada również, że się czuje iewinnym, a dalej w następujący sposób opowiaa o łączności swej z Rusinem.

Był jednym z pierwszych, który zwrócił uwaę na pokłady naftowe w Słobodzie rungurskiej zawiązywał spółkę z rozmaitymi udziałami. V r. 1881 w Styczniu dostał znaczniejszą ilość opy. Wtenczas rzucono się ze wszystkich stron o Rungury, przybył także p. Stanisław Szczepaowski, który jako geolog, oznaczył pokłady natowe na lepsze i mniej wydatne. Zostawił pewną zęść gruntu, którą uważał za mniej dobrą.

P. R u s i n był długoletnim kolegą Wolfarha i wiązały go z nim stosunki przyjaźni, a gdy na liczną rodzinę, bo aż dziewięcioro dzieci i żye w ciągłych kłopotach, Wolfarth na propozycyę usina, chciał mu wydzielić kawałek gruntu pod zyb, lecz ta propozycya nie była na razie przyęta, aż dopiero później. Wolfarth jak twierdzi, ie darował Rusinowi tego gruntu, lecz oznaczył płatę w kwocie 100 złr., nie oznaczając jednaowoż terminu, kiedy ta kwota ma być spłaconą. rzeczywiście, Rusin takowej dotąd nie uiścił. Grunt ten wyznaczył mu dla tego, iż takowy podług zdania p. Szczepanowskiego, nie obiecywał korzyści. Pan Wolfarth, chcąc się jednakowoż przekonać o prawdziwej wartości tegoż, postanowił spowodować innych amatorów, aby ci własnym kosztem kopali. Jak się z dalszego toku rozprawy pokazuje, p. Rusin nie miał żadnych funduszów na to przedsiębiorstwo. P. Wolfarth wskazał mu wspólnika w p. Postruskim, a później sam przystąpił jako wspólnik do tego szybu. Szyb ten dostał nazwę „Rusina“. Później przystąpili jeszcze inni wspólnicy. Według zeznań świadków, szyb ten kosztował 11.000 złr., według innych 22.000. P. Rusin nie wkładając nic, miał pobierać 20% brutto nafty wydobytej, która gdy się pokazała, sprzedano takowej przeszło za 5.000 złr. i p. Rusin otrzymał swoje 20% od brutto produktu.

W zeznaniach p. Rusina a p. Wolfartha, a newet przy konfrontacyi, mają miejsce pewne sprzeczności. P. Wolfarth pytany, co do wyjęcia z Sądu podania p. Szczepanowskiego, nie zapiera się i mówi, że to się stało w obecności dr. Dębickiego, gdyż to podanie wskutek nowo zawrzeć się mającej umowy z p. Szczepanowskim, było potrzebne dla p. notaryusza Türmanna, który nowa umowę miał spisywać. Przyznaje, że specyalnego pozwolenia p. Szczepanowski nie dał, ale się zaraz po wyjęciu o tem dowiedział, i nie widział w tem nic zdrożnego. W końcu dodaje, że akt ten wydał p. Rusin „z grzeczności“, a zaprzecza Rusinowi w oczy, jakby ten kilka razy do niego pisał o zwrot tego aktu.

Co do faktów nabycia gruntów od małoletnich Petra i Fedora Żołobów, twierdzi, że nabył takowe od Mojsze Nuty Rottenstraucha, nie wyjaśnia natomiast, kto spowodował upełnoletnienie i opiekuństwo 22-letniego Petra Zołoba nad bratem tegoż Fedorem; że drugi kontrakt był potrzebny do zabezpieczenia gruntu, nabytego od małoletnich w księgach tabularnych, i że małoletnim dopłacił większą kwotę.

Następuje przesłuchanie świadków. Do sali wchodzi mężczyzna wysoki, smukły, pięknie zbudowany, o rysach twarzy nader sympatycznych. Ubrany w kurtkę z modrego płótna, takież dolne ubranie i długie buty. Kibić spięta prostym rzemiennym pasem, w ręku mała, letnia czapeczka — ot po prostu ubior robotnika. Postać ta wzbudza ogólne, nader sympatyczne wrażenie. To S t a n i s ł a w S z c z e p a n o w s k i, bez zaprzeczenia najdzielniejszy pionier na polu twardej pracy w Galicyi. W każdym ruchu, w każdem spojrzeniu, w każdem słowie czuć się daje niepospolita energia, przytomność umysłu, bystrość poglądu, a do pozazdroszczenia godna logika w mowie. Ani jeden wyraz nie wychodzi z ust jego jako frazes; mówi zwięźle, jasno, przekonywająco.

P. Szczepanowski składa swe zeznania pod przysięgą. Daje pogląd na kopalnie, a zapytany przez przewodniczącego, czy mu wiadomo, że p. Wolfarth dawał komukolwiek grunta pod kopalnie b e z p ł a t n i e i czy kto kopał w tych warunkach, oświadcza, że nie przypomina sobie takiego faktu, chociaż ze stanowiska ekonomicznego byłoby to bardzo racyonalnie.

Przew.: Czy grunta p. Wolfartha w miejscu, gdzie otrzymał p. Rusin szyb, potrzebowały takiego stwierdzenia i czy mówił o tem z panem?

Sw.: Tego pewnika nie mam, że mi nie mówił.

Deponuje dalej, że chodził z Rusinem po gruntach i wskazywał mu dwa miejsca na szyb, a na pytanie, czy to czynił z polecenia p. Wolfartha, odpowiada, że dziś nie pamięta, lecz tak zapewne być musiało. Takiego wypadku, aby pan Wolfarth chciał darmo komu dać szyb, nie przypomina sobie.

Przew.: Czy ten szyb był wart tylko 100 złr.?

Sw.: Ja nie byłbym kupował drożej jak za 300, gdyż przestrzeń ta obejmowała tylko $^1/_{16}$ morga, a najdroższy mórg był w tem miejscu 2.000 złr.

Przew. pyta świadka, czy mu nie wiadomo, że w Sądzie peczeniżyńskim były zwlekane sprawy na rzecz p. Wolfartha?

Sw.: Ogólne było przekonanie, że było zwlekanie, jeżeli sprawa była nieprzyjemna dla p. Wolfartha. Tak ludzie gadali, że ile razy chodziło o p. Wolfartha, to się robiło przeciwnie. Mówiono o tem, gdy była sprawa p. Torosiewicza Edwarda z p. Wolfarthem i o innych sprawach. Ogólna opinia była, że p. Wolfarth odstąpił szyb p. Rusinowi bezpłatnie. Kontraktu jakiegokolwiek pomiędzy nimi nie widziałem. (P. Szczepanowski był zarządcą kopalni p. Wolfartha).

Do wyjęcia podania swego nie upoważniał, ani p. Rusina, ani p. Wolfartha. Dowiedział się jednakowoż o tem zaraz po wyjęciu. Nie przypuszczał jednakowoż, aby wyjęcie to było nieprawidłowe i na jego szkodę. Zwrócił mu na to uwagę p. dr. Dębicki, adwokat, lecz szkody żadnej nie miał, i nie myślał na to się użalać.

Swiadek był obecny przy przeprowadzeniu ugody z Petrem i Fedorem Zołobami. Ugodę tę przeprowadzał Mojsze Nuta Rottenstrauch w imieniu p. Wolfartha. Szybu na małoletnich gruntach nie było wtenczas. Dopiero w ostatnich kilku miesiącach odkryto tam dwa szyby.

Swiadek zeznając pod przysięgą, mówił, co mu ta przysięga nakazywała, i do czego wobec takowej był zobowiązany. Całość zeznania cechowała niezwykła w naszych czasach szlachetność, którą każdy, obecny w audytoryum odczuł.

Swiadek p. K ü h n e l t, właściciel młynów parowych i kopalń, miał także udział w szybie p. Rusina i łożył na odbudowanie tegoż. Rusin nie przykładał się nic do kosztów, które wynosiły 11.000 złr,, lecz nie p. Rusin był wspólnikiem, lecz tegoż żona, na której imię kontrakt był zrobiony, co zresztą zeznał sam p. Rusin.

Słuchany był następnie dr. Dębicki, adwokat, a po nim:

Grzegorz C h a r a k, adjunkt Sądu w Złoczowie. Swiadek był auskultantem przy Sądzie w Peczeniżynie. Zeznaje o manipulacyach sądowych, jakie przeprowadzał p. naczelnik Rusin, że aktów spadku Ostapiuków nie było, że sporządzał akt sprzedaży z polecenia p. Rusina i przeprowadził ugodę, że się starał ile możności na rzecz małoletnich wydobyć jak największą sumę, gdyż ofiarowana nie przedstawiała nawet połowę wartości, poczem p. Wolfarth dodał do 115 złr. jeszcze 15. Swiadek oddał ugodę do protokołu podawczego, gdyż powinna była być przedłożona sądowi obwodowemu do załatwienia. Naczelnik sądu pan Rusin sprawę tę sam załatwił, i nie przedłożył sądowi obwodowemu, chociaż mu na to świadek uwagę zwracał, myśląc, że p. Rusin zapomniał. Akta w tej sprawie nie były zakończone, a pomimo to przyjęte do wiadomości sądu. Gdy p. Charak przedstawiał Rusinowi, że takie postępowanie jest nielegalne, p. Rusin twierdził, że takie ugody nie potrzebują być przedkładane sądowi obwodowemu, a adjunkt Czyrowski był tego samego zdania. W innych wypadkach przedkładano takie ugody sądowi obwodowemu. Co się dalej z temi ugodami stało, nie wie, gdyż przeniesiony został do sądu powiatowego w Boryni.

Pewnego razu, gdy p. Rusin te ugody odbierał od świadka, rzekł: „Jak im Wolfarth pozwoli się zaintabulować (na szyb), to dobrze, a jak nie, to go puszczę.“

Nie mówił tego wprost do p. Charaka, ale głośno do siebie, wychodząc.

Petro Żołob przyniósł świadkowi do ugody gotowy dekret opieki.

Co do podania Szczepanowskiego, tego nie pozwolił p. Rusin załatwiać i cały rok leżało na stoliku świadka. P. Rusin podawał za powód, że nastąpi inna ugoda pomiędzy stronami.

Mojsze Nuta R o t t e n s t r a u c h, jestto typ żyda, umiejącego znakomicie przeprowadzać interesa z włościanami. Zażywny, śmiały nadzwyczaj, pewny siebie. Na zapytanie odpowiada humorystycznie. Ostapiuk był mu winien 30 złr., tak przynajmniej twierdzi Mojsze Nuta. Dopłacił mu i nabył grunta. Zapytany przez przewodniczącego czy nie wiedział, że to były grunta małoletnich i że Ostapiuk nie miał prawa sprzedawać, twierdzi, iż to robił prawnie.

Mniej ważne są zeznania p. Adolfa Müllera.

P. Edward T o r o s i e w i c z, współwłaściciel kopalń w Słobodzie rungurskiej miał spór prawny z p. Wolfahrtem w sądzie peczeniżyńskim i czuł się spowodowany prosić o ekscypowanie sądu peczeniżyńskiego, a delegowanie innego sądu. Spowodowała go do tego uchwała p. Rusina, opiewająca intabulacyę p. Wolfartha na jego kopalnie i założenie sekwestracyi, oraz wprowadzenie p. Wolfartha jako współwłaściciela.

Bliższe szczegóły, dla czego p. Edward Torosiewicz żądał delegowania innego sądu, nie zostały wyjaśnione.

Marja Ostapiuk, licząca lat 40, matka Petra i Fedora Żołobów z I. małżeństwa, zeznaje pod przysięgą, że grunta nie sprzedawała, a co do ogrodu, powiedział jej Petro: „szczo choczesz, to tobi dam“, i dał jej spłaty krowę z cielęciem, 100 „baniek“ i osobny kawałek gruntu. Mąż jej sprzedał resztę, choć nie miał prawa, Rottenstrauchowi. „Zyd kupił za pół darmo, dał 30 złr. i coś tam dodał.“ Czuje się pokrzywdzoną i wniosła o to skargę. W sądzie była jakaś ugoda“. Na małoletnich dano 50 złr., a za ogród 125 złr. Co się stało, nie wie, „były tam starsze głowy ze wsi, ci się godzili, a co baba rozumie; Kazali mi podpisać, podpisałam, bo myślałam, że to co innego“. P. Wolfarth groził, że jak się nie ugodzą, to postara się o adwokatów, co będą proces prowadzić i przewlekać.

Ugoda była zła. Dziś tam nafta i bogact wo a więc słusznie, aby ją p. Wohlfarth wynagro dzi lub darował kawałek ziemi tamże.

Michał M a l i n o w s k i, lat 44, opiekun Anny Ostapiuk, zapytany, jak się sprawa ma z grutem i ogrodem, zenaje: że sprzedał z Popowiczem Rottenstrauchowi, a żyd p. Wolfarthowi. „Był potem termin, ugoda, proces konieczny. Trzeba było opłacić stemple i adwokata, a ja biedny człowiek, tracić czas“. Na ugodzie był p. Wolfarth i gadał: „Póki świata, ze mną nie wygrasz, stawię adwokata i będzie wlekł“. — A ja bałem się adwokatów i procesów z panami. Działo się to zresztą przy sądzie.

Petro Ż o ł o b zeznaje: „Po ojcu dostałem grunt. Byłem małoletni, opiekuna nie miałem. Zawołano mię do sądu, tam mi przeczytano, że jestem pełnoletni i współopiekunem mego brata. Podania o to nie robiłem, musiał ktoś zrobić. Namawiał mię o to Salpeter, abym wniósł podanie.

Paraska S k r y p n i a k, 40 lat, drugi raz zamężna, nie była obecna przy sprzedaży, zeznaje zaprzysiężona jak inni. Nie była przy ugodzie w Sądzie, (podpisana jednak na protokole ugody).

Przewodniczący czyni ją uważną, że na protokole jest podpisana Przeczy znowu stanowczo i twierdzi, że przywieziono ją na wozie, że była chora, n kt z nią nie gadał, o nic się jej nie py-

tał, a gdy od niej zażądano podpisania protokołu, oświadczyła, że nie podpisze. Do skargi się przyłączyła. Mało dano za grunt, gdyż był wart 2000 zł.

Mieczysław Reichan, lat 42. Świadek jest sędzią, a gdy p. Wolfarth zrezygnował, został po nim mianowany naczelnikiem sądu pow. w Wojniłowie. Zeznaje, że go również wiążą długoletnie stosunki ścisłej przyjaźni z p. Wolfarthem, i że w Wojniłowie kolegował z p. W. przez lat sześć. Następnie zaś za namową p. Wolfartha wszedł również do spółki naftowej w Słobodzie rungurskiej, P. Reichan daje swemu przyjacielowi jak najświetniejsze świadectwo, zaprzeczając stanowczo, aby się podsądny mógł dopuścić jakiegoś nieszlachetnego, lub karygodnego czynu.

Fedor Zołob, lat 19, zeznaje pod przysięgą, że brat sprzedał grunt, gdy był jeszcze małoletni, że był proces i p. Wolfart złożył dla niego 100 złr. w Sądzie. Przez sprzedaż tego gruntu stała mu się wielka krzywda, bo wart 2000 złr. „Mówiłem przy ugodzie, że się nie przyjmuję.“ Nie wie czy mu brat co zabezpieczył, żąda zwrotu gruntu, lub uzupełnienia kwoty.

Ostapiuk Michajło przyznaje, że był winien Rottenstrauchowi coś, ale nie wie ile. Ten liczył 30 złr. a resztę mu dopłacił. Sąd obwodowy nie potwierdził ugód, jako: „w najwyższym stopniu krzywdzących małoletnich“.

Trybunał uchwala z powodu nieobecności p. Postruskiego nie odraczać rozprawy.

Przewodniczący zarządza odczytanie różnych protokołów, a mianowicie, p. Radcy Majeranowskiego ze Stanisławowa, który jako długoletni przyjaciel p. Wolfartha, żyjący z nim w najściślejszych stosunkach i znający wszystko jego sprawy na wskróś, zaprzecza, aby się p. Wolfarth mógł dopuścić jakiegokolwiek nieprawidłowego, a tem mniej nieszlachetnego czynu.

Odczytane zostały również akta, czyli protokół rzeczoznawców co do wartości gruntów i te orzekają, że grunta te były warte znacznie więcej.

Stwierdzonem również zostało, że p. Wolfarth miał kilka spraw o kopalnie naftowe w sądzie peczeniżyńskim.

Przewodniczący zamknął postępowanie dowodowe.

Zastępca Prokuratoryi Dr. Rybczyński odwołał się w krótkich słowach na akt oskarzenia, i że przy tem oskarzeniu obstaje.

Nakoniec zabrał głos Dr. Milgrom, adwokat p. Rusina, a po nim Dr. Górecki, którzy wymownemi słowy bronili swoich klientów.

Ci, którzy spowodowali skargę przeciw pp. Rusinowi i Wolfarthowi, nie mieli swego zastępcy prawnego.

* * *

Trybunał wydał wyrok, uwalniający pp. Antoniego Rusina i Franciszka Wolfartha.

Wodna sprawa miasta Lwowa.

Niezawodnie każdemu obywatelowi tego grodu, zależy wielce na tem, aby jako stolica kraju rósł i rozwijał się w każdym kierunku jakie tego wymogi przedstawia druga połowa XIX. wieku. Zadaniem reprezentacyi miejskiej jest zaopatrywanie też i Lwowa w to wszystko, co jest niezbędnem dla zdrowia mieszkańców, wygody i upiększenia. Chcąc stworzyć ruch odpowiedni i zachęcić, aby ruch ten powiększony był przez społeczeństwo, przybywające nietylko z po za granic Lwowa, ale i innych krajów, wypada nie szczędzić nawet większych nakładów, aby stworzyć to, co miasto czyni miłem i czego mu brakuje. Ze jednym z najniezbędniejszych warunków jest zaopatrzenie Lwowa w wodę, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ale od gospodarzy miasta, czyli Prezydyum Magistratu i Rady, wymaga reszta obywateli jeszcze jednego warunku, a to takiego, aby to, co się robi lub zrobić ma, nie działo się z ich krzywdą, gdyż niszczenie bytu jednego obywatela na korzyść ogółu, nie może być wskazówką działalności dla reprezentacyi miasta. Niestety — mamy przed sobą taki fakt, który zaiste zdumiewa, w jaki się u nas sposób pojmuje podnoszenie stolicy i jakie ztąd precedensa wyrastać mogą jako pierwowzór dla prowincyi. Po tych kilku słowach wstępu, przystąpmy do objaśnienia sprawy, która najlepiej uwidoczni, jak się rzeczy prowadzą wrzekomo „pro bono publico“.

W r. 1881 nabyło miasto realność na Wulce t. zw. „Dubsówkę“, w celu urządzenia tamże domu dla chorych nieuleczalnych. Dlaczego myśl ta tak żywotna i stanowiąca piękną sprawę wobec ustanowień w szpitalach, z których nieuleczalni chorzy są wykluczeni, a wykluczenie to spowodowało tak wielkie rozgoryczenie w całym kraju, dotąd nietylko nie została urzeczywistnioną, ale jak mniemać wolno, zupełnie zaniechaną, nie jesteśmy w możności rozświecić tej tajemnicy. Dlaczego zaś dotąd nie zapytano nawet o to p. Prezydenta na posiedzeniach Rady miasta, to także jest dla nas zagadką, a nawet, wyznajemy się, sensacyjną.

Natomiast weszła na stół Prezydyum miasta cichutko i bez rozgłosu inna, wrzekomo więcej piękna sprawa. — Oto mamy gmach sejmowy, w istocie z pięknym na froncie tegoż ogrodem miejskim, na przedzie którego zaznaczono idealny zbiornik na wodę, z którego wytryskać ma fontanna. Otóż przeciw temu projektowi nic nie mamy do powiedzenia, i owszem, głosujemy za nim, bo takowy wodotrysk ozdobiłby odpowiednio miasto. Nie zaszkodziłoby nawet, gdyby jeszcze i na kilku innych odpowiednich miejscach takie wodotryski zaprowadzono; ale powtarzamy to, cośmy już wyżej powiedzieli, że wszelkie takie upiększenia nie mogą powstawać oparte na krzywdzie pojedyńczych obywateli.

W krajach rzeczywiście ucywilizowanych, panuje, jak tego mamy wiele przykładów, nawet rodzaj absolutyzmu ze strony Prezydyów miast, jeżeli idzie o upiększenie lub w ogóle o podniesienie miasta, a jednostki obywateli, właściciele realności, chcą się temu sprzeciwiać. Absolutyzm ten jednak, zmuszający ich poddaniu się woli dla dobra ogółu, jest w ten sposób traktowany, iż ten obywatel, który zobowiązany jest zrobić realne ustępstwo, nie ponosi najmniejszej krzywdy, bo przedewszystkiem wynagradzany jest podług najwyższego wymiaru oszacowania za to, co ustępuje dla dobra miasta.

Hausmann, sławny burmistrz, który pierwszą stolicę Europy — Paryż, prawie w całości na nowo odbudował i podniósł, szedł wstępnym bojem, burząc całe ulice i dzielnice; anektował na widnokręgu Paryża to wszystko, co było dla miasta użytecznem ale — za wszystko płacił, nietylko właścicielom burzonych realności, za grunta, wodę etc. zajęte, ale wynagradzano nawet bezwarunkowo lokatorów, dzierżawców ogrodów i gruntów, w ogóle każdego, kto wydobywał czy to z własności, czy też z dzierżawy jakiekolwiek korzyści. Tak się działo w Paryżu, tak się praktykuje we wszystkich innych miastach ucywilizowanych krajów i żadna władza magistratualna nie odważy się cośkolwiek działać na szkodę chciażby najuboższego i najmizerniejszego współobywatela.

W naszym Lwowie dzieje się jednakowoż — inaczej, inaczej, inaczej!

Na gruncie Dubsówki znajduje się obfite źródło wybornej czystej wody, które zasila wszystkie realności wuleckie, a mianowicie stawy, które są prawdziwem dobrodziejstwem, jako zakłady kąpielowe, dla różnych, zacząwszy od sfer inteligentnych, aż do najbiedniejszych robotników i całego garnizonu. Wprawdzie Lwów posiada jeszcze kilka kąpieli, lecz te bez Wuleckich stawów nigdyby nie wystarczyły i tak jeszcze nie wystarczającym warunkom hygieny, czyli zdrowia publicznego. Oprócz kąpieli, woda ta służy właścicielom realności na tej linii jeszcze jako motor dla młynów, istniejących od wieków, które stanowią utrzymanie rodzin. Słowem, woda na tych realnościach stanowi główny majątek właścicieli, gdyż bez niej dochody obniżyły by się do minimum.

Prezydyum miasta Lwowa, pomijając powyższe warunki pojedynczych obywateli, ich odwieczne prawa, zwróciło przedewszystkiem swą myśl ku upiększeniu ogrodu miejskiego i gmachu sejmowego, aby tam jaknajprędzej na miejscu śpiżowego wazonu, tryskała fontanna w górę, a szmerem swym uprzyjemniała marzenia i sen najbliżej zamieszkałych śmiertelników. W tym celu postanowiło Prezydyum na własną odpowiedzialność przystąpić do czynu, z pominięciem wszelkich praw, mających od wieków walor i pod których osłoną obywatele wuleccy dotąd żyli i żyją. Nie wiele myśląc, poleciło Prezydyum rozszerzyć otwory źródeł przez zapuszczanie murowanych studzien, a następnie odprowadzić wodę osobnemi rurami do miasta przed gmach sejmowy, i stworzyć wodotrysk. Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie właścicieli i obywateli wuleckich, których nie raczyło nawet Prezydyum zawiadomić o tem odebraniu wody z całej linii i zamienieniu tej części miasta, leżącej w obrębie rogatek, na jeszcze jedną lwowską Saharę. Że postanowienie takie przedstawia ruinę częściową lub zupełną właścicieli gruntów i posiadłości na Wulce, a przedewszystkiem młynów, to jest jasnem jak na dłoni.

Nie można się też dziwić, że odnośni obywatele zaprotestowali jak najusilniej przeciw takiemu absolutyzmowi i niczem nieusprawiedliwionemu postępowaniu Magistratu lwowskiego.

Odgrywały się tam sceny, których funkcyonaryusze Magistratu byli reżyserami, jak twierdzili z rozkazu p. Prezydenta, który wrzekomo miał wyrzec: — „Ja tu jestem najwyższa władza i ja rozkazuję, a ktoby temu się chciał sprzeciwiać, tego aresztować“.

Takie rozporządzenie miał dostać jeden z funkcyonaryuszów na piśmie od p. Prezydenta, które obywatelom wuleckim okazywał.

Obywatele wuleccy, dalecy od wszelkich burd, wnieśli podanie do Sądu, do Namiestnictwa i do Sądu apelacyjnego, przedstawiając swoje odwieczne prawa i smutne następstwa, jakieby z takiego postępowania Magistratu dla nich wynikły.

Ku nie małemu zdziwieniu, poszkodowani dowiedzieli się, iż tak Sąd pierwszej instancyi, jakoteż Namiestnictwo, orzekły, że nie czują się kompetentnemi do rozstrzygnięcia tej sprawy. Poszkodowani udali się ponownie do Apelacyi z prośbą o wymierzenie sprawiedliwości i o wzięcie ich w obronę, przeciw niepraktykowanemu dotąd postępowaniu władzy magistratualnej. Tymczasem odprowadzoną została woda ze źródeł do rur przez Magistrat położonych, a następstwem tego odprowadzenia jest, że kąpiele, czyli łazienki p. Alsnera przestały już istnieć, a młyny i dalsze kąpiele, jak tylko rury dalej posunięte będą, w tych dniach ulegną temu samemu losowi. Największej pokrzywdzeni udali się w deputacyi do Ekscellencyi p. Schenka, pokładając w Nim jedyne zaufanie, że jako najwyższy reprezentant wymiaru sprawiedliwości prawnej, przekaże tę sprawę na drogę, na którą należy.

Zdaje się, że wszelkie dalsze komentarze byłyby tu zbyteczne; a jak się będzie zapatrywać na to, co się stało i stanie, Rada miasta, gdy nie udzieliła uchwały tych robót, ale podjęte zostały na podstawie ogólnej uchwały budżetu, przeznaczonego na roboty wodne, o tem niezawodnie wkrótce usłyszymy.

Poszkodowani obywatele wuleccy wręczyli memoryał przez jednego z radnych do rąk p. Prezydenta, z prośbą o przedstawienie tegoż na pełnej Radzie.

Memoryał ten oparty jest na paragrafach prawnych, i przebiegu dziejowym miasta. P. Prezydent postanowił jednakowoż nie przedłożyć Radzie tego memoryału, podając za przyczynę odnośnemu Radnemu: „że ponieważ obywatele wuleccy wytoczyli Magistratowi proces, niech czekają wyniku.

Polacy na obcych ziemiach.

W gronie Sióstr Miłosierdzia we Francyi, które za 45 letnie usługi przy chorych przedstawiane zostały do orderu legii honorowej, znajduje się Polka Goździcówna, rodem z Kujaw.

Teodor Toussenel, znany we Francyi tłumacz Göthego, urodzony z Polki, zmarł w Paryżu, w Sierpniu 1885 r., dobiegłszy 80 lat wieku. W rękopisie po nim pozostały przekłady z Wincentego Pola.

Dr. Kazimierz Gąsiorowski, emigrant z 1863 roku, po upadku powstania bawił jakiś czas w Zurich w Szwajcaryi, zkąd wraz z żoną przeniósł się w 1865 r. do Serbii i zaszczytnie znanym jest w świecie naukowym. W wojnie z Turkami 1877 i 78 r. odznaczył się poświęceniem i bardzo gorliwą pracą w ratowaniu rannych serbskich żołnierzy. Obecnie jest on głównym dyrektorem Szpitala państwowego w Belgradzie i dobił się wysokiego znaczenia wśród Serbów. Król Milan zaszczyca go osobistą życzliwością. Dr. Gąsiorowski z polecenia rządu serbskiego udał się obecnie do Madrytu, celem badania cholery, która w 1885 r. tak mocno dotknęła Hiszpanią. Dotąd umarło na cholerę kilkadziesiąt tysięcy Hiszpanów.

Aleksander Jurkiewicz, oficer w moskiewskiej służbie wojskowej, znajdujący się na Kaukazie, skorzystał z dziesięcioletniego pobytu w tym kraju w ten sposób, że zwiedził Persyę i opracował jej opis po polsku. Dzieło to ze względu na liczne odsyłacze w językach wschodnich, a tem samem i na potrzebę czcionek odpowiednich, drukuje się w Lipsku.

Rodak nasz, Dr. Zygmunt Wróblewski, zyskuje coraz szerszą popularność w Anglii. Sprawozdania jego w *Annales de Chimie* posłużyły do napisania specjalnej broszurki po angielsku, w której z jego naukowemi zasługami zapoznano społeczeństwo angielskie.

Pan Józef Sobieszczański, rodem z Radomia, założył w Manchester wielką farbiarnię.

W administracyi, oraz w samej fabryce zajętych jest kilku rodaków.

Athenaeum donosi, iż profesorem matematyki, a zarazem dyrektorem nowo utworzonego obserwatoryum w Tokio w Japonii, został dr. Moczarski, wnuk wychodźcy polskiego, urodzony w Anglii.

Z okolic Paryża, nad Sekwaną,
26. Sierpnia 1885 r.

Szanowny Ziomku.

Dostał mi się do rąk 29-y numer polskiego dziennika *Kraj*, wychodzący w Petersburgu, z 26 zeszłego miesiąca. W tym numerze, a mianowicie w korespondencyi z Mińska litewskiego, znajduję wiadomość, którą się *Kurjer* zechce zapewne ze swymi czytelnikami podzielić.

„Kończę wzmiankę, pisze p. Al. Jelski, że niedawno do kostnicy radziwiłskiej złożono zwłoki zmarłego w Paryżu ostatniego ordynata kleckiego, księcia

Leona Radziwiłła, dość głośnego ze sposobu życia. Paryżowi zapisał podobno wielką sumę, rodakom nic zgoła. Pogrzeb miał charakter całkiem urzędowy, zaszczycony nawet pruskimi mundurami. O życiu zmarłego wieleby powiedzieć można, ale na tem miejscu zamilczmy“.

Otóż ten generał moskiewski, książe Leon Radziwiłł, był, jak się pokazuje, owym *magnatem polskim*, o którym *Dziennik poznański* w num. 4. z d. ;znia r. b.. podał do wiadomości publicznej, że ł testamentem miastu Paryżowi legat *dziewięilionów franków*, ale zapewne przez wzgląd na) możnych i wpływowych Radziwiłłów w Ber- nie wymienił jego nazwiska, za co mu też *Kur- olski* zrobił wyrzut w numerze 27 z d. 1. Lutego. Czego *Dziennik poznański* nie zrobił w Sty- , tego może i dziś nie zrobi, ale *Kurjer polski* ,ryżu powinien podać do wiadomości swoim czy- :om to magnackie nazwisko renegata.

Nie chcąc i nie mogąc się rozpisywać, nadmie- ı tylko jeszcze, że to tego Leona Radziwiłła wy- nderował car Mikołaj, po r. 1849, do Konstan-)ola, aby się domagał od sułtana wydania mu le- stów polskich, którzy się byli z Węgier do Tur- :chronili, ale że sułtan okazał się wspaniałomyśl- i wydania odmówił, poseł carski musiał z kwit- do Petersburga wrócić.

Myślę, że będziecie mego zdania i życzeniu me- ıczynicie zadość.

Pozdrowienie braterskie

Kurjera polsk.). stary sługa sprawy narodowej.

Ofiarą swojego poświęcenia dla chorych na cho- w Hiszpanii stała się Polka, Franciszka Niżyń- siostra miłosierdzia. Pielęgnując cholerycznych zpitalach Barcelony, zmarła sama na epidemję. :użony i piękny jej żywot opisały i wydrukowały jscowe czasopisma.

Dr. Kurtz, rodem z Poznańskiego, założył sta- klimatyczną dla chorych piersiowych pod miastem rną, w Małej Azyi.

Elsässer Journal donosi, że w Strassburgu ob- łzili niedawno (latem 1885) małżonkowie Jar- zkiewicze brylantowe wesele. Pobrali się w roku 5, żyją więc z sobą lat 60 i to w największej nonii. Mają 10 dzieci, 28 wnucząt i 8 prawnu- . Jarnuszkiewicze, pomimo długoletniego pobytu Strassburgu, źle mówią po francusku i po niemie- , używają bowiem pomiędzy sobą, jako domowej, zinnej mowy, języka polskiego.

Odbieramy od Zarządu Towarzystwa polskiego *lność* w Chomnitz, Saxonii, następującą korespon- ıcyę :

Nowy znów kwiatek polskiej myśli na obcej za- itnął ziemi, nowe ziarno rzucone zostało na glebę, ra dotąd odłogiem nieuprawna stała. Biały nasz eł osłonił znów opiekuńczem skrzydłem garstkę laków, zmuszonych po za granicami kraju szukać leba lub wykształcenia.

W miesiącu przeszłym zawiązane zostało w Che- ıitz Stowarzyszenie polskie pod godłem *Jedność*, óre jako cel naznaczyło sobie: pielęgnowanie naro- wości i ojczystej mowy, wzajemne moralne i mate- alne wspieranie się i w ogóle wspólne przyjacielskie życie.

Towarzystwo to obchodziło w d. 11. Lipca oczyste swe otwarcie, które, w stosunku do ilości łonków, a także ze względu na wiadome istnienie łka, wypadło nader pomyślnie. Wieczór ten uro- ,ysty, a tak ważny dla nowopowstałego Towarzystwa,)zostanie zapewne długo w pamięci uczestników, iędzy którymi byli nie tylko Polacy, lecz i zapro- zeni przez komitet goście. Gośćmi onymi byli dziel- i czescy pobratymcy nasi, jako przedstawiciele tu- ;jszego czeskiego Towarzystwa *Klastimil*, oraz dwóch erbów, którzy również jak bracia i przyjaciele ser- em do nas przylgnęli. W takiem kółku bawiliśmy ię do rana, z początku podług ułożonego programu, ıastępnie zaś bez krępowania się żadnego, korzysta- iśmy z chwili i sposobności, by piersią całą wetchnąć w siebie tego ożywczego i krzepiącego pokarmu, jakim jest zdrowa myśl narodowa, miłość i braterstwo, tryskające z prawdziwie przyjaznych serc.

W zakończeniu tej krótkiej wzmianki o istnieniu Tow. naszego, wzmianki, która zapewne każdej zdrowo myślącej duszy polskiej obojętną nie będzie, pragniemy tą drogą chociaż złożyć serdeczne podziękowanie tym wszystkim Towarzystwom polskim, któ- re, spiesząc na wezwanie, myślą chociaż złączyły się z nami, śląc na uroczystość naszą życzenia swe i słowa zachęty na przyszłość.

Zarząd Stowarzyszenia polskiego *Jedność* w Chemnitz.

P. M. Kruszka, Wielkopolanin, dawniejszy korespondent do *Gońca Wielkop.*, założył pismo w Milwaukee w Ameryce pod tytułem *Tygodnik anonsowy*, który wychodzi co sobota w 3ch tysiącach egzemplarzy i rozdawany bywa bezpłatnie. Połowa *Tygodnika* przeznaczoną jest dla anonsów płatnych, w drugiej połowie są podawane artykuły, tyczące rzeczy polskich tak w polskim jak i angielskim języku.

Podług planów rodaka naszego, przebywającego w Ameryce, porucznika Z i e l i ń s k i e g o, wykończono w tych dniach w Fort Lafayette nowy statek, mający służyć do zaczepiania i niszczenia okrętów nieprzyjacielskich, gdyby się tego okazała potrzeba. Statek ten posiada rodzaj ostrobocznej ostrogi, mającej służyć do wybijania dziur w okrętach nieprzyjacielskich i jest zarazem opatrzony w przyrząd do rozbijania dna okrętowego. Na przodku bowiem tego statku znajduje się wielka do góry stercząca igła stalowa, w której dole znajduje się otwór, w którym będzie umieszczony nabój dynamitowy. Wynalazca twierdzi, iż będzie łatwą rzeczą, podjechawszy pod wodę do statku nieprzyjacielskiego, unieść się szybko w górę, wbić ową igłę w spód okrętu i rozsadzić go dynamitem. Na przodku nowego statku znajduje się także miejsce dla maszyneryi, za pomocą której pan Zieliński chce rzucać 500 funtów dynamitu na przedmiot, w odległości półmilowej się znajdujący. Pod wieżą statku znajduje się rezerwoar powietrza wraz z przyrządem, za pomocą którego można odnowić powietrze, chociażby statek znajdował się pod wodą; ilość powietrza można zarazem zmniejszać lub powiększać, tak, iż statek może pozostać pod wodą przez nieograniczony czas. *Gaz. Chicago.*

Na kresach.

Kto zwiedził Czerniowce i Bukowinę dawniej, tak np. przed 15 laty, zauważył niezawodnie, jak tam rzadko można się było spotkać z żywiołem narodowym polskim. Zagadałeś do kogoś po polsku, odpowiadał ci po niemiecku, lub takim zepsutym żargonem, ktorego za polski język trudno było uznać, a tak samo małoruskim językiem, mówił tylko lud. Otóż od tego czasu zmieniły się bardzo te stosunki, a jakkolwiek żywioł polski i ruski są w Czerniowcach w miejszości, bo na] 40.000 mieszkańóów jest tylko Polaków i Rusinow 8.000, to dziś przyjechawszy do Czerniowiec, zaiste zdumieć się należy, jakiej siły i powagi nabraly tam te dwie narodowości, wobec niedających się zaprzeczyć usiłowań rumunizoowania ich. A co jest jeszcze więcej pocieszającem, oto ten fakt, że moskalofilskie agitacye, które tam chciały się wygodnie rozsiąść, a to z tego powodu, że wielu Rusinów bukowińskich wyznaje prawosławie, agitacye te kacapskie doznały właśnie i doznają niespodziewanych przeszkód ze strony prawosławnych Rusinów. Dodać należy, że tam agitatorowie moskolofilstwa idą ręka w rękę z apostołami rumuńskimi. Początek do tego zwrotu dała niezawodnie „Czytelnia polska“, założona przed 15 laty, a której ojcem chrzestnym był obywatel Morgenbesser, ten wielce zasłużony mąż dla spraw narodowych. Czytelnia polska w Czerniowcach zajmuje może najpierwsze stanowisko pomiędzy innemi czytelniami w kraju. Zarząd tejże tworzy nader poważny komitet, którego członkowie, aczkolwiek się może różnią cokolwiek pomiędzy sobą w zdaniach politycznych, i stanowiskach fachowych, łączą się jednakowoż na tem polu w szlachetnej i wzniosłej pracy. Czytelnia w Czerniowcach ma swój własny piękny lokal, księgozbiór obejmuje 5.000 dzieł, oprócz licznych czasopism krajowych i z innych ziem polskich. W lokalu tym mieści się i scena amatorska. Statuta przestrzegane są ściśle i surowo. Realnie stoi czytelnia tak silnie, iż jej kapitał żelazny przenosi już 6.000 złr. Komitet zamyśla już nawet o budowie własnego gmachu. Księgozbiór jest w ciągłym, nieustającym ruchu. Festyny, lub inne zabawy cieszą się na zewnątrz powszechnem uznaniem

Drugim nader ważnym czynnikiem jest wychodząca rok trzeci *Gazeta polska* w Czerniowcach, pod redakcyą p. Klemensa Kołakowskiego. Wywiązuje on się w całem słowa tego znaczeniu znakomicie z trudnej pracy, jaką podjął na kresach. Gazeta ta idąc ręka w rękę z pismem małoruskiem *Bukowiną*, oddaje niezrównane usługi rewidynkacyi polskiej i ruskiej. Harmonia, jaka istnieje pomiędzy temi dwiema redakcyami, jest zaiste naśladowania godną. Jeżeli gdzie, to tam sprawa ugodowa Polski i Rusi nie jest już dzisiaj czczym frazesem, a przybiera taką powagę, że musi oddziałać i na dalsze okolice Galicyi wschodniej. Moskalofilstwo traci tam wszelką podstawę bytu, a kilku widomych i znanych osobników doznaje tylko słusznej pogardy.

Jeżeli jednak zważymy na znaczną miejszość narodowości polskiej, to łatwo pojąć, z jakiemi trudnościami materyalnemi ma redakcya *Gazety pol.* do walczenia. Gazeta ta skazaną jest na ofiarność, jeżeli misya jej nia ma być czczym frazesem. Trudno jej odmawiać często biednym rodakom, którzy łakną duchowego pokarmu i nie dawać im pisma bezpłatnie. Bywają wprawdzie redakcye, które pomimo szumnych frazesów, wydawnictwo uważają za „geszeft“; na taki pogląd redakcya *Gazety pol.* nie mogła się dotąd zdobyć. Następstwem tej patryotycznej pracy jest, że *Gazeta pol.* zagrożoną jest bardzo pod względem bytu i jeżeli nie znajdzie rychłego poparcia, to dalsze wydawnictwo stanie się nadal nie możebnem.

Wzywamy więc wszystkich obywateli kraju o poparcie tego pisma, którego prenumerata wynosi kwartalnie 2 złr. 55 ct.

Nie dajmy upaść tej straży narodowej na kresach!

Nekrologia.

Resztki bojowników naszych z r. 1831 zstępują coraz skorzej do grobu. Nie wiele już czasu upłynie, a pozostaną oni już tylko w pamięci obecnego pokolenia. Ze wszystkich stron nietylko ziem polskich, ale z całej kuli ziemskiej przychodzą coraz częstsze wieści, że nas ten lub ów Wiarus opuścił i spoczął w zimnym grobie. W naszym starym grodzie oddajemy też coraz częstszą przysługę tym weteranom sprawy narodowej, którzy w wierze swej narodowej wytrwali aż do końca bez względu, jaki los pozostał im w udziale na resztę dni żywota.

Któż nie znał tej czupurnej żołnierską postawą, choć tak małej wzrostem postaci, **Karola Żmigrodzkiego,** żołnierza z legii nadwiślańskiej z roku 1831 i rotmistrza ułanów „czerwonych“ z kampanii węgierskiej w r. 1848. „Łokietek“ wzrostem, ale i „Łokietek“ męstwem. Była to jednem słowem od lat młodzieńczych aż do grobu prawdziwie żołnierska dusza, prototyp żołnierza polskiego, jakim się do skonu mianował. Nie był on wielkim politykiem, nie uganiał się za zaszczytami i błyszczeniem cnotami narodowemi, ale żołnierstwo swoje uważał za kapłaństwo. Po twardych przygodach żywota, po tułactwie i więzieniu, oddał się cichej, mozolnej pracy nauczyciela domowego, a gdy już i na ten zawód sił brakowało, znalazł przytułek jako dyurnista w Wydziale krajowym. Zarabiając zaledwie tyle, aby zaspokoić głód i mieć gdzie głowę złożyć pod dachem, siedział stary żołnierz za stolikiem, przepisując pilnie, co mu kazano. Nieraz, z górą 70-letniego starca opuszczały siły, ale cóż miał czynić. Samobójstwem się brzydził, a na żebractwo by się nie zdobył. Tak doczekał się 76 lat żywota.

W b. r. opuszczały go siły coraz więcej; poprosił o urlop, łudząc się nadzieją, iż uzyska jaką zapomogę, aby módz po za murami Lwowa zaczerpnąć świeżego powietrza i pokrzepić ciało, bo duch był taki sam, jak przed pół wiekiem. Dostał wprawdzie urlop, lecz realniejszych środków, niezbędnych do tegoż, odmówiono starcowi. Nie pozostało mu więc nic innego, jak szukać pokrzepienia sił nad wonną Pełtwią. Przewidywał on swój koniec, i mówił o nim z największym spokojem jeszcze na kilka dni przed śmiercią. Bolał tylko, że nie może nawet sprowadzić swojej jedynej córki, aby mu oczy zamknęła, bo ta zmuszoną jest szukać chleba, którego on jej dać nie może, u obcych ludzi. Przeczucie starca żołnierza było prawdziwem. Zaniemógł nagle, zaniesiono go do szpitala i tam oddał ducha Bogu. A była to dziwnie zacna i szlachetna dusza.

Ostatnią posługę oddali mu towarzysze z r. 1831, 1843 i najmłodsze pokolenie żołnierzy polskich z r. 1863. Kilka wieńców okryło jego trumnę, a nad grobem przemówił J. N. Gniewosz, zaznaczając żywot tego żołnierza polskiego, wiernego sztandarowi aż do chwili, jak długo w piersi stało tchu. Po zmarłym towarzyszu została córka sierota, oblała łzami mogiłę ukochanego rodzica, któremu niestety niedozwolonem jej było nawet oczu zamknąć. Tak umierają nasi najstarsi żołnierze polscy, sami, nie czując nawet bijących serc przy łożu śmierci, w szpitalu.

Zaledwieśmy tę mogiłę przykryli ziemią rodzinną, gdy po Lwowie i kraju rozeszła się żałobna wieść, o skonie ś. p. **Walerjana Podlewskiego.** Kto i czem był ten zmarły obywatel i dobrze zasłużony syn Ojczyźnie polskiej, jest całemu kraju wiadomo, gdyż do skonu żył żywotem publicznym. Ani wiek, ani nic innego nie było mu przeszkodą do pracy, obowiązującej każdego prawego syna tej ziemi. Młodzieńcem podążył w szeregi narodowe w r. 1831. i walczył mężnie, okryty krzyżem złotym, jako oficer drugiego pułku ułanów.

Po powrocie do Galicyi, zamienił oręż na lemiesz. W r. 1848 wziął czynny udział w sprawach publicznych i zajmował wybitne stanowisko w sejmie wiedeńskim i Kromieryżu.

W r. 1863 pracował z zapałem w organizacyi powstańczej, za co odpokutować musiał w więzieniu.

Wybrany na posła do Sejmu, pracował następnie jako członek Wydziału krajowego, poświęcając się gorliwie wszelkim innym pracom patryotycznym. Był on duszą opieki narodowej, opieki nad kapłanami unitami, a w końcu Prezesem nad

opieką dla weteranów z r. 1831. Przy zakładaniu wszelkich towarzystw narodowych, ekonomicznych, społecznych, nie namyślano się długo, aby zaprosić śp. Walerjana na przewodniczącego. Nie uważał on tego uznania za szczególny zaszczyt i odznaczenie, ale po prostu za służbę obowiązkową, obywatelską, i musiał bardzo niedomagać fizycznie, aby takiego obowiązku odmówić. Skonał ze spokojem duszy dnia 23. b. m. Pogrzeb odbył się dnia 26. Września.

Ogromne tłumy publiczności wszystkich stanów i wyznań zgromadziły się na plac, przy ulicy Jagiellońskiej, Mickiewicza i Brygidzkiej. Komitet obywatelski musiał utrzymywać porządek. Gdy trumnę złożono na karawanie, okrytym licznymi wieńcami oprócz niesionych, wystąpił na balkon okryty kirem towarzysz i przyjaciel zmarłego Mieczysław Darowski, ten dziwnie poważny starzec i patryota, którego znają wszystkie ziemie polskie. Przemówienie jego wysoce patryotyczne, któremu nie brak było swady wymowy i młodzieńczego prawdziwie zapału, wywarło nader silne wrażenie. Nawet u ludzi na pozór zimnych, spostrzegałeś łzy w oczach

Po ojcu Darowskim przemawiali: Dr. Goldmann i Karol Widman, jako współtowarzysze pracy w opiece narodowej ze ś. p. zmarłym Walerjanem.

Nareszcie wystąpił kapłan gr. kat. obrządku, ks. Bobrowicz, unita. Przemówił w pięknym ruskim języku, ale z taką siłą i taką prawdą wypowiedział, iż wrażenie jego mowy zelektryzowało wszystkich, szczególniej ustęp, jak pojmować należy szlachectwo a szlachectwo, szlacica a szlachcica.

Ks. Metropolita Sembratowicz odprawił przed pogrzebem wraz z całą kapitułą nabożeństwo przy katafalku. Przed trumną szedł ks. arcybiskup Morawski i infułat Mosing, liczne duchowieństwo i zakony. Po za karawanem deputacye i reprezentacye różnych towarzystw i urzędów.

Dziwnie rzewne wrażenie wywierała szczupła garstka towarzyszy bojów zmarłego, weteranów z 1831 roku, na których czele Dr. Longschamps, który niedawno powstawszy z łoża po długotrwałej chorobie, niósł na poduszce krzyż „virtuti militari". Pogrzeb postępował ulicami: Słowackiego, Majerowską, Karola Ludwika, Kopernika, przez Nowy Swiat, na dworzec kolei Karola Ludwika, gdzie był ustawiony katafalk, a na nim mównica, pokryta kirem. Tam przemówił p. Oktaw Pietruski, członek Wydziału krajowego.

Trumnę po ceremoniach kościelnych przeniesiono do wagonu, a pogrzeb odbył się następnego dnia w Chomiakówce.

Karol Groman, wydawca i współwłaściciel *Dziennika lwowskiego*, *Gazety narodowej* i *Kurjera lwowskiego*, członek Rady miasta Lwowa i Izby handlowej, zakończył nagle żywot dnia 29. b. m. Pogrzeb odbędzie się dnia 1. Października r. b. po południu.

Mieczysław Trzciniec Preszel, b. właśc. dóbr ziemskich, żołnierz polski z r. 1863. i zastępca Naczelnika siły zbrojnej pow. krasnostawskiego, zmarł we Lwowie dnia 29. Września b. r., przeżywszy lat 68.

KRONIKA.

Pierwszy nakład niniejszego Nru skonfiskowała c. k. Prokuratorya Państwa za artykuł p. t. „Słowo o pruskich wydalaniach", z którego to powodu nastąpiło spóźnienie. *Redakcya.*

Gdzie komitet lwowski dla wygnańców z Poznańskiego? Odbieramy korespondencyę z Czerniowiec, w której nam donoszą, że i tam utworzył się takiż komitet dla niesienia pomocy nieszczęśliwym rodakom. Do komitetu było już 57 zgłoszeń obywateli z tej części Galicyi i Bukowiny, którzy otwierają swe gościnne wrota dla przyjęcia i dania chleba wygnańcom. Komitet czerniowiecki zgłaszał się po dwa razy pisemnie do komitetu lwowskiego, donosząc o otwarych miejscach dla wygnańców. Komitet lwowski nie raczył nawet ani jednem słowem odpowiedzieć, oraz donieść, gdzie się należy zgłaszać z takiemi żądaniami. Wobec tego faktu wolno nam przypuszczać, że działalność komitetu lwowskiego, w którego skład wchodzi rzeczywiście grono zacnych i patryotycznych obywateli, dostała się znowu w ręce ludzi, którym jedynie na tem zależy, aby świecić swem poświęceniem w wszelkiego rodzaju komitetach, lecz tylko nazwiskiem. Takie lekceważenie przyjętych na siebie obowiązków obywatelskich, jest nie do darowania, a byłoby wielce do życzenia, by raz takiej bladze koniec położyć. Po długich szukaniach objaśniono nas dopiero w Izbie rękodzielniczej, że jednym z najgłówniejszych czynników komitetu jest p. Dr. Roszkowski, profesor uniwersytetu, członek Rady miasta, Agudas Achim i wielu innych Towarzystw, które mu nader wiele czasu zajmują, aby się mógł poświęcać z jednakową siłą w każdym kierunku. Obecnie jak to można było spostrzedz w tych dniach, wyczerpał ostatek sił p. Dr. Roszkowski z kokardą na piersiach podczas zjazdu kupców, wożąc tychże na Wysoki zamek, przemawiając i wznosząc toasty. Lecz nie dosyć na tem, gdyż jako siła w wiadomościach handlowych, brał udział w sekcyach obradujących nad przyszłością i dolą naszego handlu.

W Izbie rękodzielniczej objaśniono nas, że p. Dr. Roszkowski jest z ramienia komitetu dystrybutorem rozdawania wsparcia wygnańcom, którzy się do niego zgłaszają. Jestto jednak rzeczą nader uciążliwą dla nich, gdyż ci biedacy nie znając Lwowa, zmuszeni są całymi dniami szukać i pilnować p. skarbnika, aby go mogli zastać w domu.

Zdaniem naszem komitet dla wygnańców jest tak ważnym punktem oparcia dla tychże, iż p. R. powinien ogłosić kilkakrotnie siedzibę swoją, w którym to lokalu winien zawsze jeden z członków komitetu lub zastępców tychże urzędować. Gdy się to dotąd nie stało postanowiła Redakcya nasza z własnej dobrej woli udzielać wszelkich wskazówek wygnańcom, którzy przybywać będą do Lwowa.

Redakcya „Strażnicy polskiej", otwarta codziennie od godziny 9 rano do 2 w południe i od 4 do 6 po południu. — Lwów, Rynek l. 8. pierwsze piątro.

W sprawach wygnańców rodaków pośredniczyć będziemy pomiędzy tymiż a komitetami, oraz na własną rękę wskazywać im będziemy stanowiska do pracy odpowiedniej.

Akt fundacyi ks. Lubomirskiego znajduje się już w posiadaniu Rządu. Orzeka on, że książę daje kwotę 2 miljony franków Rządowi i oddaje pod jego dyspozycyę, ażeby: Kapitał został użyty na utworzenie Zakładu i utrzymanie schroniska (asile) dla młodych chłopców upuszczonych lub złego prowadzenia: schronisko ma nosić nazwę: „Schronisko utworzone przez ks. Aleksandra Lubomirskiego" i powstać w Krakowie lub w jego okolicach najbliższych; w celu urządzenia go zostanie wybudowany gmach monumentalny, otoczony ogrodem: na facyacie gmachu będzie położony napis: „Schronisko" itd. Będzie w nim kaplica z kopułą zakończoną krzyżem; w schronisku będą umieszczani chłopcy opuszczeni lub złego prowadzenia, religii katolickiej, urodzeni w Galicyi lub w Wielkiem Księstwie Krakowskiem; schronisko starać się będzie o wychowanie religijne i moralne pupilów i o ich ukształcenie, przygotowując do zawodów praktycznych; wprowadzenie w życie tej fundacyi w ogóle i w szczegółach jej administracyi jak i funduszów, przeznaczonych na utrzymanie, poruczył książę wyłącznie c. k. Rządowi, dodając, że wszelka inna ingerencya jest formalnie wzbroniona.

Akt datowany jest w Paryżu w pałacu c. k. ambasady austro-węgierskiej dnia 31. sierpnia 1885 r.

Podpis fundatora, oraz w imieniu Rządu galicyjskiego namiestnika Zaleskiego.

Legalizacyi podpisów dokonał ze strony c. k. ambasady Le chargé d'affaires d'Autricho-Hongrie, *Gołuchowski.*

Honwedzi polscy. Obecnych na wycieczce Polaków do Budapesztu pp.: Szybalskiego z Krakowa i Smalawskiego ze Lwowa ozdobiono medalem srebrnym na czerwonej wstążce. Na jednej stronie medalu tarcza wśród mieczów, na drugiej zaś napis: *1848|49 Honvéd.* Odnośny komitet Honwedów upoważnił p. Smalawskiego do wygotowania spisu zamieszkałych w Galicyi Honwedów z r. 1848|49 w celu obdzielenia ich wspomnianym medalem pamiątkowym. Weterani z kampanii węgierskiej mają zatem zgłosić się do p. Smalawskiego we Lwowie, ulica Fredry nr. 3.

Kwestya restauracyi pomników w kościele farnym w Rzeszowie, czeka ciągle jeszcze na ostateczne załatwienie. Rozpisane przez komitet kościelny listy do spowinowaconych rodzin magnackich nie odniosły, dotychczas przynajmniej, żadnego skutku, a o subwencyi oczekiwanej od hr. Lanckorońskiego, również jakoś przycichło. Mimo tych zawodów jednak mają wspomniane pominiki przecież doczekać się odnowienia. Od kilku dni bowiem bawi w mieście naszem rzeźbiarz p. Wolff, który oświadczył swą gotowość odnowienia pomników bądź z kamienia, bądź też za pomocą trwałej masy, sporządzonej z gipsu i wapna hydraulicznego. Restauracya ostatnia tą masą kosztowałaby około 250 złr. tylko, a ponieważ nie możemy się troszczyć o trwałość aż do wieczności, bylibyśmy zdania, aby trzymano się tych kosztów, którym podołać można. Czas bo już, by wreszcie przystąpiono do załatwienia tej piekącej sprawy, która, Bogiem a prawdą powiedziawszy, żadnego nie przynosi zaszczytu grodowi naszemu. *(Tygodnik rzeszowski).*

Z Warszawy. Zeszłej nocy, tj. w środę, o godzinie 1szej żandarmi pod dowództwem Mirosława Adolfowicza Dobrjańskiego (chyba już wiecie, kto to taki) robili rewizyę w mieszkaniu jakiegoś oficyalisty w fabryce tabacznej „Union" (dawniej za czasów monopolu wystawił ją Leopolda Kronenberga, dziś własność towarzystwa akcyjnego niemieckiego, nawiasem mówiąc, przynosi około 14%. P. R.) położonej przy ulicy Marszałkowskiej. Następnie to samo powtórzyli u jednego z lokatorów przy ulicy Nowogrodzkiej. Ponieważ nikogo nie aresztowali, ani żadnych rzeczy nie zabrali, przeto widać, iż nic zakazanego ani nawet podejrzanego nie znaleźli. Od sąsiadów, boć to się nie w lesie ani na pustkowiu działo, ciekawy mógł się dowiedzieć, iż oficyalista nazywa się Feliks Lisiecki, a lokator z ulicy Nowogrodzkiej, Wolski — ponieważ zaś rewizyą dowodził Dobrjański, domyślać się wolno, iż poszukiwano czegoś odnoszącego się do sprawy unickiej. A że wiadomo, iż w ostatnich czasach Mirosław Adolfowicz popisywał się w Lublinie, przeto można wnosić, że jedno z drugiem ma związek. Więcej na razie nic donieść nie mogę; już i tak macie jeden domysł i jedno przypuszczenie, choć może prawdopodobne, ale zawsze nie pewne.

Otóż i koniec mego listu na dziś byłby, gdyby nie to, że koniecznie chcecie, abym częściej i więcej pisywał. Trudno nowiny z palca wyssać; więc posłuchajcie bajki, a może też i nie bajki?

Mirosław Adolfowicz Dobrjański, któremu często w interesach służby wypada jeździć koleją Terespolską, (kolej idąca od Warszawy na Siedlce do Brześcia Litewskiego, przecina Podlasie zamieszkałe przez Unitów. P. R.) czasu na próżno nie traci i z każdej korzysta okoliczności. Aby cel, za który jest dobrze płatny, osiągnąć, jeździ więc klasą IIIcią i w rozmowie z Unitami stara się ich przekonać, że szyzma jest prawdziwą wiarą ich ojców.

— Ja sam Unita, — mówił raz, — a dziś prawosławny tak jak moji ojcowie.

— A jak pańska godność? — pyta się jeden z gawędzących z nim włościan Unitów.

— Mirosław Karo, z Galicyi ruskiej: Lachy i Jezuity mnie prześladowali, więc do was się przenoszę.

— A no, to dobrze, bo nawet ojca pańskiego znałem, — odrzekł chłop, który wiedział, z kim ma do czynienia.

— A to jak i gdzie? — pyta się Dobrjański.

— U zawiadowcy w Chotyłowie jest pies, co go wabią „Karo," ale pewno uczciwszy od ciebie.

Na tem się rozmowa urwała, a na pierwszej stacyi Dobrjański wysiadł i zapewne już więcej pod pseudonimem Karo podróżować nie będzie. *Gon. Wielk.*

Nahajki. Wyszedł ukaz, iż nahajkę, dowolnie używaną dotąd przez wojska kozackie, mają od tej pory nosić z urzędu i obowiązkowo wszyscy kozacy i oficerowie aż do najwyższego stopnia. Biada Europie, „sie wird Kossakisch..."

Z Warszawy roznoszą po niemieckich gazetach o odwecie tutejszych kupców na niemieckich fabrykantach.

I tak mówią, że kupcy tamtejsi zrywają kontrakta z kupcami niemieckimi, a machiny, które dotąd brali w Niemczech zamierzają brać z Francyi.

Gdyby tak być miało, byłby to smutny wynik wydalania Polaków. Aleć w skutku nigdy, a nigdy nie nagrodzi się tej krzywdy materyalnej, jaka się stała 40stu tysiącom ludzi spokojnych, którzy tracą zarobek roczny co najmniej 40 milionów grzywien. Tego zarobku, który tu w Prusiech mieli, już mieć nie będą — a jeden jest obowiązek polski, żeby ci, co zagranicą przebywają, wrócili na stare śmiecie.

Roznoszą dalej wieść, że rząd warszawski miał nakazać wstrzymanie wszystkich przemysłowych budowli fabrycznych w dwóch nadgranicznych pasach, jeżeli przedsiębiorca jest obcokrajowcem. Nawet dawnych budowli rozszerzać nie wolno bez pozwolenia z Petersburga. Niemieccy dziennikarze widzą w tem odwet na Niemcach; nam się zdaje, że to jest zwrócone przeciw przemytnikom, gdyż w przeciwnym razie nie ograniczono by się na owych dwóch pasach, ale wydano by przepisy obejmujące kraj cały — zwłaszcza Królestwo Kongresowe.

Polska naukowa wyprawa do Azyi Mniejszej, która w roku zeszłym kosztem Karola hr. Lanckorońskiego wyjechała na Wschód, powróciła z wielkiemi zdobyczami dla nauki i sztuki.

W roku bieżącym, dnia 24. Lipca, wyruszyła z Wiednia druga wyprawa naukowa Karola hr. Lanckorońskiego do Azyi Mniejszej.

Dla czego w tym roku hr. Lanckoroński nie zaprosił polskich uczonych i literatów, lecz dobrał sobie do pomocy Niemców, nie umiemy odpowiedzieć na to pytanie.

Polska posiada dostateczną liczbę uczonych i artystów, — po cóż więc było angażować Niemców?

Smielsi są oni w robieniu przypuszczeń, lecz często domysły swoje podają za fakta rzeczywiste, jak to czynił niejednokrotnie sławny Schliemann.

Polscy uczeni są o wiele gruntowniejsi od niemieckich, a jednakże hr. Lanckoroński zdaje się o tem nie wiedzieć.

Wyprawa wyruszyła pod kierunkiem profesora Niemanna. Z Adalli, na południowem wybrzeżu Małej Azyi, uda się ku Taurusowi dla uzupełnienia badań nad pomnikami Likijskimi.

W razie powodzenia, wyprawa hr. Lanckorońskiego spróbuje zbadać stare Teby u stóp wschodnich gór Taurusu.

Wydział krajowy czeski wniesie na Sejmie o subwencyę 150,000 złotych reńskich na odbudowanie starego zamku w Karolowym Tynie (Karlstein) w obwodzie praskim. (A co będzie z walącym się zamkiem w Olesku? Red)

Jak niegrzeczni są niektórzy Anglicy, tego dowód mamy w liście pewnego korespondenta do *The Liverpool Courier*, który proponuje, że ponieważ w Liverpoolu wałęsa się po ulicach mnóstwo Angli-

ków bez zarobku, więc należy pozbawić pracy Niemców, którzy przepełniają tamtejsze rafinerye cukru. Niemcy, pisze ta gazeta, zadawalniają się mniejszym zarobkiem i dla tego znajdują tam łatwo pracę. Anglicy zaś muszą szukać wiatru po polu. Liwerpoolski korespondent kłopoce się i na wypadek wojny z Niemcami, i powiada, że pan Moltke potrzebuje tylko w danym razie zabębnić, a w samym Liverpoolu znajdzie się jeden lub dwa pułki karnego żołnierza, gotowego do pomagania swej ojczyźnie. Dla tego powtarza, że kiedy nasi rodacy umierają z głodu, obowiązkiem jest każdego prawdziwie patryotycznego anglika, aby dawał zatrudnienie swym rodakom, zamiast popierać obcą tanią pracę.

Od Redakcyi „Wiadomości przemysłowo-rękodzielniczych“. Podjąwszy się tego wydawnictwa, oświadczyliśmy z góry, że możemy dać naszą pracę ale nic więcej. Druk i papier winni pokryć rękodzielnicy i przemysłowcy. Zdawało się, że pismo, które na cały rok kosztuje 2 złr, znajdzie w kraju przynajmniej tyle prenumeratorów, że przy bezpłatnej redakcyi pokryją się koszta druku. Te jednak wystarczyły zaledwie na pół roku. Krzywdę musieliby oczywiście ponieść ci, którzy zapłacili. Teraz dopiero jest nadzieja, że „Wiadomości rekodzielniczo-przemysłowe“ wychodzić będą regularnie, z tą tylko różnicą, że rok prenumeracyjny kończyć się będzie nie z dniem 1. Lutego, ale z 1. kwietnia, a Nra zaległe zostaną przez to wyrównane.

Najnowsze wiadomości.

Kurjer lwowski donosi: Kraków 29. Września. Były dyrektor i kasjer gal. kasy zaliczkowej Aleksander Pilarski, został tu wczoraj aresztowany za wiadome defraudacye; przebywał w Krynicy przebrany za kobietę. Żona jego posiada dom w Krynicy. Pilarski odwieziony zostanie do Lwowa, gdzie przeprowadzonem zostanie śledztwo, a następnie proces.

Pilarski ścigany był listami gończemi za sprzeniewierzenie 46.000 złr. W sobotę przybył do Krakowa. Wykrył i przyaresztował go koncepista policyjny Mazurkiewicz.

Telegram ten miał wywrzeć formalną panikę na różnych osobnikach, którzy brali udział w działaniach kasy zaliczkowej lwowskiej.

Bessere Geschäfte vor Allem. P. Dr. Arnold Rappaport, jeden z energicznych czynników Länderbanku, członek Izby handlowej w Krakowie, wybrany z tejże łona na delegata do Rady państwa, postanowił zrezygnować z poświęcania się dla kraju, wobec daleko korzystniejszych widoków, jakie mu się przedstawiają w Serbii, a dokąd go wysyła Länderbank. Jak dochodzą wieści z Krakowa, Izba handlowa tamże ma być niepocieszoną, stratą tak znakomitego protektora i reprezentanta swego w Radzie państwa. Ubolewamy nad przyczyną smutku Izby handlowej krakowskiej, lecz zapytujemy tych panów, którzy szczególnie odczuwają tak wielką stratę, czyby ktokolwiek z nich zawahał się chociaż chwilkę, jeżeliby mu się zdarzyło „ein besseres Geschäft“, zrezygnować z zaszczytu delegata? Nam się zdaje, że p. Dr. Arnold Rappaport już się dosyć poświęcał dla kraju, a może za wiele. Niech przyjaciele jego nie płaczą i pocieszą się, że na jego miejsce nie zabraknie dystrybutora Schweiggeldów.

O Redakcyi Gazety narodowej krążą coraz częściej ciekawe wiadomości, i tak: P. Juliusz Starkel, dyrektor zakładu w Drohowyżu, znużony poświęcaniem się dla sierot i starców, zrezygnował z swej posady i wniósł o dymissyę. Mówiono, że w Wydziale krajowym otrzyma bardzo korzystne „dyurnum“. Aż tu znowu Gazeta narodowa donosi, iż wieść o wstąpieniu p. Starkla od Nowego Roku do Redakcyi tejże gazety, nie jest czczą pogłoską, ale prawdą. Wobec tak częstych zmian w gabinecie organu p. Dra. Czerwińskiego z Fürstenhofu, hydropaty, można się cieszyć, że jeżeli staną z szanownym chlebodawcą na czele pp. Gołemberski i Starkel, to kraj odzyska zdrowie za pomocą tej spotęgowanej hydropatyi. P. Starkel ma rozpocząć swe prace od nader cennych poglądów „o chodowaniu sierót i starców“. Czy p. S. będzie równocześnie współredaktorem Gazety narodowej i dyurnistą Wydziału krajowego, okaże się to dopiero po Nowym Roku.

Donoszą nam z Stanisławowa, że tamże znani protektorowie p. Dra Bilińskiego, p. Głogowski, komisarz podatkowy, ks. Dąbrowski i spółka, biorą znowu w entrepryzę wprowadzeniu na krzesło poselskie ze Stanisławowa p. Dra Czerwińskiego. Szanowny hydropata, ażeby urzeczywistnić swoje osobiste zachcianki i passye, jak wiadomo, nie waha się nawet przed największą ofiarnością realną. W tym celu nie żałował sumptu na założenie Reformy 50.000 złr. A gdy mu ta zamiast prostować drogę na posła, pokazała figę, p. Czerwiński po krótkim odpoczynku, przedestylowawszy mnóstwo zimnej wody na wartościowe papierki, kupił sobie znowu Gazetę narodową i pół drukarni i postawiwszy na straży swych interesów p. Gołemberskiego, zaangażowawszy p. Juliusza Starkla, zawiązał stosunki dyplomatyczne w Stanisławowie i tak dalszą ofiarnością swą zamyśla pod jakimbądź warunkiem zdobyć krzesło poselskie w sejmie krajowym.

Agitacya wyborcza do mających nastąpić w br. wyborów do miasta Lwowa, już obecnie zaczyna w ruch wchodzić. Nie jest np. już tajemnicą, że pewne znane stronnictwo usiłuje już teraz czynić popularnem nazwisko, którego chce wynieść na stanowisko prezydenta miasta. Nowym tym kandydatem jest hr. Stanisław Badeni. Drugie aspiracye na to samo stanowisko, niesie echo z ulicy Kurnickiej, gdzie zamieszkuje Dr. Roszkowski, prof. uniwersytetu i członek Rady miasta. Jak twierdzą lepiej poinformowani, kandydat ten, doznawszy porażek przy wyborach do Sejmu krajowego i do Rady państwa, niezrażony niepowodzeniami i licznymi wydatkami, postanowił tentować o krzesło burmistrzowskie w stolicy kraju.

Bardzo ciekawe przymierze. Od pewnego czasu wzbudza niezwykłą ciekawość widomy sojusz, lecz nie wiedzieć jaki, czy natury politycznej, lub też tylko serdecznej przyjaźni pomiędzy — Otcem Iwanem Naumowiczem, Benedyktem Płoszczańskim, i p. Moricem Diamandem, znanym protektorem i politycznym przyjacielem rabina z Florisdorfu Blocha. Narodek lwowski zachodzi — jak to mówią — w głowę, co tych trzech panów tak ściśle z sobą połączyło.

Obecne znaczenie sceny polskiej we Lwowie.

Czem jest teatr, uważany jako szkoła życia w obywatelskiem znaczeniu każdego kraju i narodu, o tem pisać byłoby zbytecznem. Dla nas Polaków i w naszem położeniu scena ma niezawodnie daleko większe znaczenie, aniżeli gdziekolwiek indziej. Jeżeli ktośkolwiek obznajomiony z dziejami sceny polskiej od ostatniego rozbioru, ten musi przyznać, jakie ta instytucya publiczna u nas oddawała usługi znakomite, podnosząc ducha w chwilach zwątpienia i broniąc od wynarodowienia ojczystej mowy. Ileżto można naliczyć zdarzeń, gdzie kilka słów ciepłych, swojskich, wygłoszonych na deskach sceny, jak iskra elektryczna rozbudzały masy do podnoszenia sztandaru szlachetnych ideałów, a nawet do bohaterskich czynów. Iteżto razy dążył ktoś do teatru jedynie w tym celu, aby się zabawić i rozweselić, uważając scenę jak każdą inną zabawkę dla małych i starych dzieci. Przedstawienie sceniczne, a produkcye linoskoków, stawiał w pojęciach swych na równi; tymczasem wszedłszy, gdy się odsłona podniosła, ujrzał postacie, jakby na jawie, nie mające żadnej styczności z obecnem, okalającem go społeczeństwem, a jednak, mówiące tą samą mową co on, ale o rzeczach, o których nie miał przedtem ani pojęcia. Nadzieja jego chwilowo zawiedziona, gdy do śmiechu pustego nie nastręczała się sposobność, pomimo to, zaczął skupiać uwagę i z ciekawością dążyć za wątkiem treści i ducha sztuki. W myśli i duszy zaczęło mu się coraz więcej rozjaśniać, aż nareszcie zaczął pojmować i rozumieć te postacie zmienionej przeszłości i ich przewagę nad obecnem otoczeniem społecznem. Oczy zaczęły się łzawić lub iskrzeć, a gdy padły słowa gorętsze i dzwoniące już wyraźnie do duszy, bezmyślny przedtem widz, żądny tylko śmiechu, wybuchał niespodzianie jak wulkan zapałem, który mu już nie przestał na cały żywot rozgrzewać piersi płomieniem zniczowym do szlachetnych czynów.

Ileżto razy znowu zabłąkał się wykolejony na drodze żywota młodzian, dziewica, mąż w sile wieku lub kobieta, i ujrzał w żywem słowie przedstawiony dramat, oparty na żywocie innego, doń podobnego śmiertelnika, jak jedna kropla wody do drugiej. Jakby widmo straszne, przedstawił mu się obraz i przyszłość jego własnego żywota, całą ohydę lub zbrodnię, jeżeli nie wejdzie znowu na jasną i prostą drogę. I tak, taki jeden wieczór, spędzony w teatrze, przemieniał formalnie zupełnie ku lepszemu człowieka i pokazywał mu gwiazdę zbawienia.

Na ten temat moglibyśmy bardzo długo i wiele pisać. Ten krótki zarys powinien jednakowoż wystarczyć, aby pojąć znaczenie sceny, a mianowicie polskiej.

Aktor polski, jeżeli ma jakąkolwiek świadomość o swem powołaniu, i z niem się liczy, ma zupełne prawo do znaczenia misyjnego w narodzie. Że tak pojmujących scenę i aktora jest znaczna liczba obywateli kraju, o tem wątpić nie wolno, chociaż znowu znaczna część nie daje scenie wyższego znaczenia, jak tylko środka najzwyklej pojętej zabawy.

Otóż ta część społeczeństwa powoduje dzisiejszy nasz artykuł. Chcąc aby nas zrozumiano, do czego dążymy, musimy przedstawić obecny stan sceny polskiej.

Jako główne ognisko tejże i najpoważniejszą pieleszę, uważano do niezbyt dawna scenę warszawską, gdyż ta posiadając znaczne środki, sprzyjające materyalnemu powodzeniu, mogła też kształcić i dzielnych artystów, przynajmniej tak długo, dopóki mowa polska na scenie nie raziła nikogo. Obecnie jednakowoż stosunki społeczne tak się zmieniły w Warszawie, że sztuka polska tylko wyczerpującym siły przebojem może tam głosić jakąkolwiek myśl szlachetniejszą. O scenie narodowej w ścisłem tego słowa znaczeniu nie może tam być już ani mowy, jeżeli klasyczne dzieła sztuki, uprzywilejowane we wszystkich ucywilizowanych narodach, mogą być jedynie przedstawiane nie jako pełne siły ciało, lecz tylko jako szkielet, z którego najcenniejsze muskuły poobcinała cenzura. Wobec takich warunków, nie można się dziwić, że scena warszawska przestała już prawie być szkołą artystycznego wykształcenia, a siła jej i powaga, jaką dotąd utrzymuje, jest tylko jeszcze w kilku weteranach. Gdy zaś tych braknie i rozerwie się wątek tradycyjny z przeszłością, to i znaczenie sceny warszawskiej zmienić się musi do niepoznania.

Jeszcze smutniejsza przyszłość czeka młodziutki teatr poznański, który powstał ofiarnością całego narodu. Wielkopolanie nie mogą być uwolnieni od zarzutu, że w tym chociaż krótkim szeregu lat, jaki się datuje od otwarcia sceny polskiej w Poznaniu, nie spełnili swych obowiązków tak, jak powinni. Pojmujemy zupełnie ich twardą walkę o byt, a jeszcze większą o zatrzymanie w posiadaniu ojczystych zagonów. Po za tem jednakowoż muszą się przyznać do winy, że było w ich możności zwrócić większą uwagę na utrzymanie stałe sceny narodowej, aniżeli się to praktykowało, bo gdy było jasnem jak na dłoni, że scena polska w Poznaniu jest jednym z nader ważnych czynników do podtrzymania narodowości polskiej, można było większą część poświęcić wydatków, wyrzucanych na inne zabawy i rozrywki, nie koniecznie licujących z dolą Wielkopolan.

Jeżeli kiedy, to dziś powinni się przyznać do grzechu ci, którzy stanęli jako kierownicy i opiekunowie w przemysławowym grodzie, a obarczeni ciężkimi i wyraźnymi zarzutami, drwili sobie po prostu z opinii publicznej i przyjętych na siebie obowiązków świętych. Otóż gdyby nie ta smutna gospodarka, nie frymarczenie teatrem polskim w Poznaniu, jak zajęczą skórką, przez ten szereg lat, od kiedy teatr został otwarty, z grona stale utrzymywanych artystów, byłby się niezawodnie wyrobił nowy zastęp młodych miejscowych sił, któreby się nie były potrzebowały obawiać jakiejkolwiek banicyi, i spełniały dalej misyę wykształcenia społeczno-narodowego.

Dziś nie można się nawet łudzić, że teatr poznański nawet przy dostatecznych funduszach będzie mógł odpowiadać zadaniu, bo nie ma artystów własnych. Wobec wydalania Polaków z Prus, jakie się praktykuje, a nawet tych, którzy przybywają za najlegalniejszymi paszportami austryackimi lub rosyjskimi, spodziewać się można, że taki sam los czekać będzie towarzystwo dramatyczne i pojedyńczych artystów. Bodaj się nasza przepowiednia nie sprawdziła. W takim razie pozostają jeszcze tylko dwie sceny polskie: W Krakowie i we Lwowie.

Czy krakowska scena, której byt obliczony jest od dawniejszego czasu i teraz jedynie na spekulacyę, będzie tą pieleszą sztuki polskiej scenicznej, jaką być powinna, o tem niestety jeszcze długo wątpić należy. A powątpiewanie takie i to rodzi, że jak się można było przekonać w ostatnich kilku latach, publiczność krakowska i krytyka tamtejsza ograniczają się na daleko skromniejszych żądaniach zdolności artystycznych, aniżeli nasi lwowianie.

W takim razie pozostaje tylko scena lwowska, w stolicy kraju, którą w dodatku jako subwencyonowaną przez tenże, można rzeczywiście obecnie uważać za szkołę sceny polskiej. Tu przynajmniej jest ona o tyle swobodną, że poważniejsze dzieła sztuki nie są jej zabronione.

Z dyrekcyą teatru p. Jana Dobrzańskiego, mielibyśmy nie jedno do pomówienia i prawo do uczynienia również niejednego zarzutu, gdyż wiele rzeczy mogłoby się daleko dodatniej przedstawiać, aniżeli się to czyni w praktyce. Poruszać tych spraw obecnie nie chcemy, a natomiast ku zdziwieniu niejednego z szanownych czytelników, staniemy może w obronie p. Dobrzańskiego, o ile tego sprawiedliwość wymaga.

Oto wypowiedzieliśmy wyżej, że publiczność lwowska nie tylko, iż ma wybredniejsze wymagania pod względem sceny od Krakowa, ale mówmy prawdę, jestto zepsute dziecko, któremu często zachciewa się nawet gwiazdki z nieba, zapominając, że chociaż Lwów jest stolicą kraju, ale liczy tylko w ogóle 120.000 mieszkańców. A więc jest to cyfra, wobee innych stolic, w których kwitnie równocześnie sztuka dramatyczna, opera i operetka, z dobrem powodzeniem, za zbyt mała, aby mogła dostarczać dostatecznej ilości płacących widzów, ku utrzymaniu tych wszystkich trzech działów sztuki scenicznej. Nasi lwowianie domagają się natomiast tych warunków koniecznie, a w dodatku ma-

, te same zachcianki, jak każdy lubownik sztuki ·enicznej w miastach, które dwa i trzy razy tyle ieszkańców liczą. Gdy zaś tych zachcianek nie ogą zaspokoić, „hajże na Soplicę!“

Otóż zdaniem naszem należałoby się na seyo zastanowić, jak daleko wymagania nasze sięgać ıogą i powinny, o ile dyrekcya może odpowiezieć tym żądaniom i jakie stanowisko scena naza we Lwowie zająć powinna. Zdawać się powin-o, że każdy myśliciel, a przynajmniej osobnik, aliczający się do ludzi wykształconych, i z jakiem akiem zrozumieniem obowiązków narodowych, wiien być świadom, że scena polska we Lwowie ıa tylko jedno główne zadanie, a tem jest sztu-a dramatyczna. Tu winien każdy prawy ›ywatel przyczyniać się według możności, aby ten ział sztuki scenicznej kwitł u nas i rozwijał się, ile tylko nasze siły do poparcia wystarczą. Dla-go też zapowiadamy już dziś, że zamieszczając naszej nowo-odrodzonej *Strażnicy* stałą rubrykę 'a teatru, zajmować się będziemy głównie dziam dramatycznym, i nie będziemy stawiać żądań ·rekcyi, aby ta dla zadośćuczynienia życzeniom ntastów, utrzymywała równocześnie i o takiej ımej sile operetkę i operę, jak to nam przedsta-ia dział dramatyczny. Ten uzupełnić, chociażby awet większemi ofiarami, oto być powinno zadaiem p. Dobrzańskiego. Żądamy, aby w tym kie-ınku teatr lwowski stał się głównem ogniskiem ·eny polskiej w ogóle, gdyż innego miejsca ani arunków na to nie ma.

Żądać od dyrekcyi, aby ta czyniła takie wy-łki, iżby opera lwowska odpowiedziała wygóro-anym żądaniom naszej publiczności, zachcianki nie dadzą się niczem usprawiedliwić. Gdybyśmy ıcieli pojąć zadanie naszej sceny, to moglibyśmy łko żądać, aby pomału stworzyć operę z wła-ych sił, na co subwencya krajowa może wy-arczyć.

Żądając przeciwnie, aby dyrekcya sprowadza-na sezon zimowy pierwszorzędne siły, i na chy-ł trafił rzucała pieniądz w błoto na ich opłaca-ie, to żądamy już za wiele, bo czynimy wielką ·kodę przedewszystkiem naszemu towarzystwu ramatycznemu.

Kontyngens dramatyczny i operetkowy, jaki ·rekcya zmuszoną jest utrzymywać i opłacać, przed-awia się w bardzo poważnych cyfrach, i rzeczy-iście dziwić się należy, że taki skład wielki, ja-ego za żadnej dyrekcyi przedtem nie było, może ·ć dotąd utrzymany. Niechże więc publiczność ›ważna raz się zdecyduje i wypowie swoje zdanie, ·y ma być dramat i operetka, lub też dramat opera; ale zawsze opera, jako szkoła na przy-łość. A jeżeli od żądań naszych wygórowanych ·e odstąpimy, to działać będziemy na szkodę sztu-dramatycznej. Takie zaś macosze traktowanie ·jże, to nie tylko grzech powszedni, ale bodaj czy ·e zbrodnia, wobec naszych stosunków narodowych.

Powtarzamy jeszcze raz, zechciejmy to sobie ›rzytomnić, że w obecnych stosunkach scena olska we Lwowie musi być i powinna szkołą ztuki dramatycznej, chociażby tylko z tego zględu, aby uzyskać świadectwo, że nie stoimy żej od innych cywilizowanych krajów i narodów. alarstwo polskie, muzyka i śpiew, wraz z awan-ardą naszej dramaturgii, zdobywają dziś laury na ›ydwóch półkulach ziemi; a nie da się zaprzeczyć, scena polska stała już bardzo wysoko. Obecnie nas tylko zależy, by ją podnieść do właściwe-znaczenia.

Poglądy te nasze oddajemy pod rozwagę wszy-ch światłych obywateli kraju, przedewszystkiem ś lwowskich, jako zamieszkałych w stolicy.

Przegląd literacki.

Tygodnik polski, literacki, artystyczny i nau-wy, pod redakcyą p. Stanisława Woynarowskiego, ›chodzić będzie od 1. Października r. b. Mamy pod ›ą „Numer na okaz“, w którym zamieszczone są ›welki oryginalne i tłómaczone, kronika tygodniowa, ›gląd literacki, pogadanki teatralne, drobne wiamości, rozmaitości, poezye i życiorys literata. Słoem prawie wszystkie działy, jakich od pisma lite-ckiego czytelnik ma prawo wymagać. Uważamy za łaściwe rozpoczynać krytykę po wydaniu Nru. ıa okaz“. Wydawnictwo to witamy szczerem sercem ık każde inne pismo polskie, w tem przekonaniu, ·e szerzić będzie jedynie zdrowe i uczciwe idee, jakich ołeczeństwo nasze wymaga.

Targ zbożowy, handel i przemysł.*)

Lwów, dnia 30. Września.

Pszenica. Jeżeli przejrzymy targi zbożowe lat wstecz, to musimy przyjść do tego przekonania, że ceny, óro obecnie wszystkie giełdy zbożowe notują, spadły do najniższego poziomu. Wszelkie notowania są po części nominalne, czyli, że notowane są tak, jak mniej więcej ten lub ów gatunek zboża otrzymaćby można. I tak n. p.: Dziś pszenica we Lwowie loco „paritas“ Lwów, notuje się 7 zlr. 50 ct. za 100 Kg., — gdzie za najlepszy gatunek pszenicy nie można więcej dostać, jak 7.20 do 7.30, licząc w to pierwsze koszta bez senzalów.

Żyto. Ruch w handlu żytem ożywił się w ostatnich czasach. Ceny trzymają się stosunkowo do pszenicy znacznie wyżej, gdyż na gotowy towar w lepszym gatunku można znaleść pewnego odbiorcę. Dziś nadeszłe telegramy z Krakowa donoszą, że tamże za żyto można otrzymać 6.50 do 6.70.

Jęczmień. Ten stanowi w tym roku wyjątek, gdyż z powodu deszczu zebrano w całym kraju bardzo mało niezrośniętego. Z tego powodu ceny jego notuje się wyżej, a za dobre płaci się o 50 ct. więcej nad ceny notowane. Potrzeby browarów krajowych nie mogą być jęczmieniem krajowym pokryte, a więc tenże sprowadzanym być musi z Węgier i Rumunii. Przy tej sposobności musimy nadmienić, że rumuński jęczmień jest tylko na potrzeby gorzelniane używany.

Owies. Widoki na ładny zbiór owsa spełzły prawie na niczem; to też podług przypuszczalnych zestawień, zbiór nasz krajowy ledwo na potrzeby folwarczne, a nie krajowe wystarczy. Kładziemy tu nacisk wyraźnie na potrzeby folwarczne, gdyż wszelkie potrzeby dla wojska i te, które w ogóle po za gospodarką folwarczną niezbędne są na utrzymanie koni, zmuszone będą zaopatrywać się w rumuński owies, który w tym roku pomimo lekkiego gatunku jest nader pięknego koloru.

Przy tej sposobności nadmienić musimy, że spodziewana „hossa“, czyli podniesienie cen na owies, tłumaczy się dalej tem, że ostatnimi czasy znaczna ilość zakupioną została w Rumunii do Odessy i na wywóz do Prus. Mianowicie do ostatnich, Bank galic. dla handlu i przemysłu, kupował owies całymi pociągami.

Jeżeli więc zwrócimy uwagę na te obce żądania, a w dodatku i na niepewność pogody na horyzoncie politycznym, wtenczas staje się prawie pewnikiem, że na wiosnę spodziewać się można znacznie wyższych cen na owies, które jeszcze potrzeba krajowa do siewu wiosennego podnieść musi.

Nasiona pastewne. Najwybitniejsze miejsce pomiędzy uprawianemi u nas, zajmuje koniczyna czerwona, której gatunki tegoroczne z powodu panującej suszy, a potem kilkotygodniowych deszczów, znacznie na kolorze i jakości ziarna ucierpiały. Podług sporadycznie nadsyłanych próbek do Lwowa, przedstawia się ziarno koniczyny czerwonej bardzo dobrze, koloru ciemnego (rothstichig), i źle oczyszczone. Ceny notują się dziś 40 zlr. za 100 Kg. loco Lwów i stacye kolejowe w kraju. Za piękne gatunki, jeżeli się tylko takowe znajdą, będzie można otrzymać ceny, jakieśmy w r. 1883 na wiosnę mieli, t. j. po 60 zlr., a może nawet więcej. Ceny te naszem zdaniem nie są wcale przesadzone, jeżeli zechcemy zauważyć, że siew koniczyny czerwonej rozpowszechnia się w kraju między wieśniakami, którą to zasługę przyznać należy rzeczywiście kółkom rolniczym. Wieśniacy albowiem, mianowicie w zachodniej Galicyi, jakoto w powiatach: Bielskim, Tymbarku, Bochni, Krakowskim i kilku innych, chętnie płacą najwyższe ceny za towar gruboziarnisty bez kanianki i innych domieszek.

Tymotka jest drugiem nasieniem, którego plon obecnie uważać należy w tym roku za dosyć obfity. Jednakowoż kolor ziarna nie ma tego srebrnego połysku, jakiego od tymotki wymagamy.

Rzepak. Jeżeli zważymy okoliczność, że roślina ta jest u nas w kraju z roku na rok coraz mniej uprawianą, to nie możemy sobie wytłumaczyć raptownego spadku cen, jakie obecnie ten produkt notuje. A są to ceny, jakie na wiosnę płacono. I tak: Na wiosnę płacono za każdą dobrą terminatkę, tj. na kontrakt pewny, 11 zlr. i wyżej, przy wypłacie całej należytości z góry, gdy obecnie przy wielkich wymaganiach jakości ziarna, płacą 7 zlr. do 9 zlr. za 100 kg. Tę anormalną różnicę w cenach rzepaku, musimy przypisać gatunkom ziarna, którego odmiany są tak znaczne, jakich od kilku lat nie widziano.

Chmiel, który właśnie w wańtuchy pakują, wypadł jak na nieustannie zmienną temperaturę wcale nie źle. Ceny jednakowoż są tak niskie, że sprzedaży większych partyj po cenach, jakie na wiosnę sprzedane zostały, nikt nie zawarł. Brak odbiorców na chmiel tłumaczymy znowu tem: W pierwszej linii znacznymi zapasami zeszłorocznej produkcyi; dalej orzeczeniem Zateckiej wyroczni, czyli t. zw. „Signirhalle“, naznaczającej ceny, jakoby nasz chmiel ustępował w jakości zateckim gatunkom. Ta „Signirhalle“, robi to dla podniesienia produkcyi chmielu z miasta, okolicy i powiatu zateckiego. Przestraszona konkurencyą naszą, zrobiła z tego prawie kwestyę gabinetową, chcąc się poprostu utrzymać przy rodzaju monopolu i nawet Galicyę zaopatrywać wyłącznie swoim produktem.

Trzecia przyczyna spadku cen uwidocznia się tem, że jakieś niepojęte dla nas i niezrozumiałe uprzedzenie naszych krajowych browarów: jest sprowadzanie przez takowe chmielu do swej produkcyi piwa z Zaacu lub Czech, który przecież innym towarem nie jest jak tylko galicyjskim, a jedynie dobroć tego chmielu polepsza się przez danie zateckich i czeskich sygnatur na wańtuchach. Dziś notują się ceny chmielu normalnie po 46 zlr. za 50 klg. Zaac zaś notuje swój chmiel miejski po 100—105 zlr., z okolicy Zaacu 80—85, z powiatu po 70 zlr. za 50 Kg.

Co do tego produktu możemy przedstawić następujący horoskop. Jesteśmy zdania, że jeżeli klika, składająca się tylko z kilku milionowych firm, trzymająca się obecnie za ręce, przyjdzie do przekonania, że zapasy zeszłoroczne nie są znowu tak nadzwyczaj wielkie, a o hiperprodukcyi nie może być na razie ani mowy, to w niedalekiej przyszłości, a nawet może na tegorocznym zbożowym targu w dniach 6 i 7 Października we Lwowie, znacznie się ceny podniosą.

Ziemniaki w tym roku, pomimo obawy, spowodowanej deszczami, że będzie mały plon, gatunek drobny i wodnisty, obawy te okazały się płonnemi. Ziemniaki bowiem są dobrze pod krzem rozłożone i wyrosłe, plon dobry i nadspodziewanie piękny. Te okoliczności też spowodowały, niezwykły spadek cen i to taki, że na folwarkach loco nie chcą kupcy wyżej płacić, jak 50 do 60 ct. za 100 Kg.

We Lwowie proszą się producenci, ażeby po 80—90 ct. kupować loco dom.

Ceny zboża na dniu dzisiejszym tj. 30 Września Lwów, notujemy jak następuje:

Pszenica: 6.40—7.50. — Żyto: 5.50—5.80. — Jęczmień: 7 zlr. i wyżej. — Owies: 5.—5.50.

Spirytus obecnie bez odbiorcy. Ceny są tak notowane, że nawet kosztów produkcyi nie pokrywają.

S. S.

*) Redakcya poczyniła starania, aby w dwutygodniowych odstępach podawać najprawdziwsze i najwięcej wiarygodne sprawozdania z targu zbożowego i innych krajowych produktów. Dział ten będzie z przyszłym już Nrem znacznie rozszerzony, jako to: na naftę, drzewo, skóry i inne produkta.

W Słobodzie rungurskiej wydobywanie nafty przybiera olbrzymie rozmiary. Kilka dni wstecz wynosiła dzienna produkcya 900 beczek. Dziś nam znowu donoszą, że w kopalni p. Jana Torosiewicza, ukończono wiercenie szybu, z którego otworu wypływa dziennie 100 beczek nafty. Zwrot ten powoduje nowy system wiercenia, t. zw. Kanadyjskiego, które w całem naszem górnictwie naftowem dotąd było więcej opłakanem, aniżeli przynoszącem korzyści, obecnie robi formalny przewrót. Lecz nie święci garnki lepią; kanadyjskie wiercenie nie jest tylko wyłączną własnością umiejętności Kanadyjczyków, gdyż i nasi rodacy już go sobie z dobrym skutkiem przyswoili. Pracę taką wiertniczą, ukończył z najlepszym skutkiem — p. Leniecki, inżynier, były major wojsk polskich w r. 1863., na gruntach kopalnianych p. Edwarda Torosiewicza w Słobodzie rungurskiej, który zawarł z p. Lenieckim i Spółką umowę, na dalsze głębokie wiercenia. Z otworu wywierconego przez p. Lenieckiego, eksploatuje się codziennie kilkadziesiąt beczek nafty. Do Słobody rung. dążą obecnie inżynierowie, górnicy, którzy ukończyli akademię w Leoben, ludzie młodzi, z zapasem wiedzy teorytycznej, dziś stawiają przy świdrach kanadyjskich, jako prości robotnicy. Rzeczą jasną, że taka nauka sumienna wyda jak najlepsze owoce dla kraju i nie odda nas w monopol wyzyskiwania obcym. Kopalnie w Słobodzie rungurskiej istnieją od lat kilkunastu, lecz kulały i niejeden, szukający tam majątku, stracił całe mienie, a nawet przypłacił życiem. Mamy jednak przykład, co to znaczy, jeżeli wobec takiej pracy znajdzie się prawdziwa siła męzka, która tytaniczną pracą i właściwym poglądem, nauką, przezwycięża wszelkie trudności. To też w górnictwie naftowem po ś. p. Ignacym Łukasiewiczu zapisanem będzie niezawodnie złotemi literami nazwisko młodego pioniera, a następcy ś. p. „ojca Ignacego“ — Stanisława Szczepanowskiego. Przybył on do Słobody dopiero przed kilku laty. Nie ustraszyła go wszelka nędza, jaka się tam jego oku przedstawiała. Ignorował nawet lekceważenie domorosłych powag, które widząc młodego człowieka w niepokaźnej bluzie robotnika z młotkiem górniczym w ręku, badającego pilnie pokłady ziemi i skał, brały go za tarczę swych żartów. Wkrótce jednak siła moralna zwyciężyła i kopalnictwo naftowe pchnęła na nowe tory. Dziś kto przejedzie przestrzeń od Kołomyji do Słoboty rungurskiej, zdumiony zostaje, patrząc na to, co tam już dotąd zdziałano. Olbrzymie destylarnie pod Kołomyją, a szczególniej w Peczeniżynie, budzić muszą wiarę, nawet w najskrajniejszym niedowiarku, że przemysł górniczy naftowy wkrótce stanie się dźwignią całego kraju, gdy pokłady naftowe odkrywają się w coraz szerszych granicach. Słoboda rungurska, to nie piekło borysławskie, to nie ta pół-Azya, stworzona przez handełesów Drobyckich, zamienionych obecnie w Rotszyldów galicyjskich. W Słobodzie nie ujrzysz tej ohydnej rabunkowej gospodarki; tam prawa i obowiązki górnicze nie są czczym frazesem, bo ujęte są w ruch karny przez ludzi uczciwych, nie łupiących na dzisiaj, ale pracujących na jutro. O kopalniach naftowych, mianowicie w Słobodzie rungurskiej, napiszemy obszerniej; tymczasem: „Cześć dzielnym pionierom!“

Zjazd chrześcijańskich kupców i przemysłowców.

Lwów 29. września. Zjazd chrześcijańskich kupców i przemysłowców podzielił się — jak wiadomo — na pięć sekcyj, których referenci przedłożyli dziś odnośne wnioski. I sekcya: imieniem sekcyi I. zaproponował p. Ignacy Drexler, co następuje:

1) Na ucznia do zawodu handlowego przyjęty być może ten tylko, który ukończył 4. klasę realną, gimnazyalną, lub szkołę wydziałową, albo też ukończoną średnią szkołę handlową;

2) praktyka trwać powinna dla uczniów, odbywających ją własnym kosztem, trzy lata, dla uczniów, odbywających ją kosztem pryncypała, 4 lata;

3) w czasie praktyki uczeń powinien mieć obowiązek uczęszczania do szkoły przemysłowo-handlowoj, a pryncypał jego powinien mieć obowiązek posyłania go do tejże szkoły;

4) na prowincyi, gdzie dotychczas szkół przemysłowo-handlowych nie ma, dążyć należy do ich zakładania; gdzie zaś to okaże się niemożliwe, do rozszerzenia zakresu nauk w szkołach powtarzania tak, aby je zbliżyć do właściwej szkoły przemysłowo-handlowej;

5) w szkołach przemysłowo-handlowych bezwarunkowo wykładane być powinne, prócz innych przedmiotów, buchalterya, geografia handlowa i towaroznawstwo, koresp. kupiecka w językach: polskim, niemieckim i francuskim, a w Galicyi wschodniej i w języku ruskim, tudzież prawo handlowe i wekslowe;

6) praktyczny egzamin na subjekta powinien się odbywać w siedzibach gremium przed komisyą z 5 członków złożoną, a mianowicie z 3 członków z gremium, 1 delegata Izby przem.-handlowej i 1 rzeczoznawcy z tego zawodu, do którego egzaminowany należy, delegowanego przez gremium. Do tego egzaminu dopuszczeni być powinni ci tylko kandydaci, którzy posiadają świadectwo ukończonych z dobrym stopniem kursów szkoły przem.-handlowej, oraz świadectwo z odbytej 3 lub 4-letniej praktyki.

Egzamiu praktyczny poprawiony być może w terminie 3 lub 6 miesięcy, podług uznania komisyi egzaminacyjnej.

7) poleca się zarządowi gremium wspólnie z prezydjum zjazdu wnieść petycyę do Sejmu krajowego o wyjednanie założenia

a) średnich szkół przemysłowo-handlowych we Lwowie i Krakowie, tudzież

b) Akademji handlowej we Lwowie, a co najmniej o otwarcie wydziału handlowego przy Szkole politechnicznej we Lwowie.

Wszystkie te wnioski przyjęto prawie w zupełności, bo tylko z jedną mało znaczącą poprawką.

Z sekcyi II. referował p. Stachiewicz z Tarnopola. Według wniosków jest uchwalono:

1. określenie, co jego handlem większym, mniejszym lub grajzlernią, pozostawić lwowskiej Izbie handlowo-przemysłowej na podstawie umyślnej ankiety;

2. uznano Towarzystwa spożywcze za najniekorzystniejsze dla handlu, albowiem przekraczają swoje statuta, na co kontrola jest niemożebną;

3. nad kwestyą święcenia niedzieli, którą sekcja chciała modyfikować, a niektórzy stawiali z punktu religijnego, na wniosek p. Chylewskiego przeszło zgromadzenie do porządku dziennego, zwłaszcza, iż nawet istniejąca ustawa nie jest wykonywaną i niemożebną do wykonania;

4. uznano potrzebę założenia centralnej we Lwowie instytucyi handlowo-finansowej z filiją w Krakowie i ekspozyturami w innych ważniejszych punktach kraju, Instytucya ta ma być udziałową na podstawie przepisów ustawy o stowarzyszeniach zarobkowych. Zadaniem jej będzie pośredniczyć w zakupieniu z pierwszej ręki towarów en masse dla wszystkich firm, należących do takiego związku.

Nastąpiła rozprawa p. Popowicza z Tarnopola, zawierająca bardzo zdrowe myśli — bo chodzi o wykluczenie całej zgrai agentów i faktorów, a nawet zagranicznych kupców hurtownych. Instytucję taką nazwać można: Spółką hurtowną. Tym jedynie sposobem można będzie zwalczyć konkurencyę przysyłek 5 kilowych, towarzystw spożywczych i kółek rolniczych.

Tu zabrał głos p. inżynier Dzieślewski i wziął w obronę tak Kółka rolnicze, jakoteż sklepiki wiejskie.

P. Nyczaj imieniem Torhowli narodnej (po rusku) poparł poprzedniego mowcę, zastrzegając ją przeciwko zarzutowi, iż między innemi i ona robi kupcom konkurencję.

P. Śliwiński (organmistrz lwowski) odczytał swój elaborat, rozszerzający poniekąd myśl p. Popowicza w myśl zawiązania Spółki importowej i eksportowej handlowo przemysłowej.

Co do domokrąztwa uchwalono popierać je, o ile zajmuje się wyrobami przemysłu domowego, a zwalczać je wszelkiemi prawnemi sposobami, jeżeli się zajmuje fabrykatami innemi, zwłaszcza tandetą zagraniczną.

Wniosek, iż do założenia samoistneo interesu kupieckiego potrzebny jest egzamin osobny, 6-letnia kondycya w charakterze subjekta i wykazanie się odpowiednim majątkiem — przekazano gremium do rewizji.

Na żądanie p. Nyczaja zamanifestowano oklaskami łączność z tendencjami „Narodnej Torhowli.“

Imieniem sekcyi III. przedstawił ref. Chylewski wnioski następujące:

1. Udać się do Dyrekcyj szkół przemysłowych, aby wyroby ich sprzedawane były tylko po cenach w kraju praktykowanych.

2. Wyroby domów karnych nie powinne być dopuszczane na wystawy i ograniczać się jedynie na takie przedmioty, które w kraju nie są wyrabiane. Sprzedaż drobna winna być wzbronioną, a w hurtownej, ceny zastosowane do ogólnie w kraju praktykowanych.

3. Siły domów karnych spożytkować najlepiej do kultury nieużytków ziemi, zalesień gór i wydm piaszczystych itp.

4. Orzec niedopuszczalność wyrobów zagranicznych na wystawy krajowe i okręgowe, z wyjątkiem specyalnych wystaw. a i tam tylko w pojedynczych egzemplarzach — podobnież równorzędność przemysłowców z rolnikami w komitetach i komisyach sędziowskich.

5. Dla rozwoju przemysłu krajowego uchwalono wszystkie w wykładzie dra Rutowskiego zaproponowane petycye do Rządu i Sejmu w sprawie szkolnictwa, opodatkowania i kredytu przemysłowego, tudzież subwencyonowanie przedsiębiorstw przemysłowych.

P. Lewicki imieniem sekcyi IV. referował o statucie Związku kupców i przemysłowców Galicyi. Sekcya zaproponowała, aby w tytule nie stało nazwisko „chrześcijańskich“, ale aby de fakto tylko chrześcijanie mogli do tego Związku należeć. Pp. Wojciechowski, Solecki, Niemczynowski i Miączyński oświadczyli się za jawnem wywieszeniem firmy chrześcijaństwa — i tak uchwalono.

Na wniosek sekcyi V. (ref. Miłkowski) określono kwalifikacyę handlu i kramarstwa w ten sposób, że handel musi protokołować firmę, prowadzić księgi i rugi, utrzymywać uczniów tudzież subjektów. Kramarz zaś wolny od obowiązku protokołowania i utrzymywania ksiąg nie może mieć uczniów ani subjektów i wyraźnie winien na firmie używać napisu „kram“. Kupcy mają gremia zawiązywać, kramarze zaś osobne korporacye. Aby protokołowanie nie pociągało wyższego opodatkowania — zarząd wystosuje petycyę do Rządu.

Przyszły Zjazd uchwalono odbyć za rok w Krakowie.

P. Niemczynowski wozwał wszystkich kupców i przemysłowców, aby zrywali stosunki z Prusakami, a zawiązywali z Królestwem i Węgrami.

Posiedzenie rozpoczęto o godzinie 11. zamknięto o 3. Zgromadzonych pożegnał p Miączyński, życząc, aby uchwały Zjazdu doczekały się jak najrychlejszego urzeczywistnienia.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **J. N. z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9.

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskieko.